



CAROL WOOD



Lekarstwo doskonałe

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Bruno... Jeśli się nie mylę, w języku staroangielskim to znaczy „brązowy”, pomyślała.

Przez te kilka sekund, w których Bruno Quillan przemknął obok niej jak kometa Halleya, zdążyła zauważyć piękne, wyraziste, ciemnobrązowe oczy, w których kącikach skupiały się cieniutkie, promieniste kreseczki, niczym miniaturowe wachlarze otwierające się, gdy ich właściciel wpatrzył się w coś lub kogoś uważnym spojrzeniem spod zmarszczonych brwi. Jej, co prawda, nie zaszczycił nim ani razu!

I te włosy. Gęste, niezbyt uładzone, falujące; włosy, za które kobieta oddałaby wiele. Opalona na brąz szyja wyłaniała się z rozpiętego kołnierzyka.

Doktor Bruno Quillan.

Naraz Frances drgnęła, gdyż lekarz, o którym myślała, oderwał się od pacjenta, odwrócił i ruszył szybko w jej stronę. Zbyt późno podjęła próbę ustąpienia mu z drogi i oto znalazła się w oku cyklonu. Druki i notatki zawirowały w powietrzu, ona zaś wykręciła piruet, jakby unosząc się w powietrzu i wreszcie znalazła się z powrotem na ziemi - i to w uścisku bardzo silnych ramion. Bez tchu, świadoma utkwionych w nich kilkunastu par oczu, oparła się dla odzyskania równowagi o pierś sprawcy kolizji, który miał na sobie, jak mimochodem zauważyła, rozciągnięty sweter, z pewnością nie prany ostatnio w reklamowanym w telewizji cudownym proszku.

- Przepraszam - powiedział Bruno Quillan skruszonym tonem, wtykając jej z powrotem w rękę plik papierów. - Naprawdę, bardzo przepraszam... Chwileczkę!

Frances otworzyła usta i zaraz je zamknęła, bo on już się odwrócił do jednej z rejestratorek.

Stała posłusznie, przyciskając do piersi swoje notatki o pacjentach, jeszcze niedawno pieczołowicie ułożone w kolejności alfabetycznej, teraz kompletnie pomieszane.

- Jeszcze moment! - rzucił. Powiódłszy za nim oszołomionym wzrokiem, dostrzegła za jego barczystą sylwetką wpatrzoną w niego jak w obraz filigranową Suzie Collins.

Doprowadziła papiery do jakiegoś takiego ładu i ignorując uśmieški pacjentów, odwróciła się gwałtownie. Być może on tego nie wie, ale czas pielęgniarki też jest cenny!

- Proszę zaczekać! - usłyszała znowu i poczuła, że wzbiera w niej złość. Nawet nie wie, jak ona się nazywa. Nie raczył jej zapytać. Zapewne do tej pory nie miałby pojęcia, że ona w ogóle istnieje, gdyby się o nią nie potknął. Co za niewychowany typ! A sądząc z rumieńców Suzie, pewno uważa się za uwodziciela.

Nie zatrzymała się, przeciwnie, przyspieszyła kroku i wyszła na zewnątrz. Świeże powietrze nappełniło jej płuca i ochłodziło płonące gniewem policzki. Pocieszyła się myślą, że przetrwa te kilka miesięcy z pomocą trojga innych lekarzy z zespołu, którzy zadali sobie trud, by się z nią poznać. Czy to możliwe, że minęły dopiero dwa tygodnie od przeprowadzki z Londynu do Dorset? Frances westchnęła, ogarnięta nagłą tęsknotą za miastem. Czyżby zrobiła głupstwo, zgadzając się zastąpić swoją przyjaciółkę, Benitę Howarth, na czas urlopu macierzyńskiego? Przecież Benita na pewno znalazłaby kogoś innego. Ale w końcu cóż to jest sześć miesięcy?... Tylko że w tej chwili okres ten wydawał jej się dożywociem.

- Proszę zaczekać!

Frances zamarła. A więc poszedł za nią? Odwróciła się, obrzucając go ostrym spojrzeniem niebieskich oczu, dumnie podniosła głowę, i odrzuciła na plecy złocisty warkocz. Jak na złość słońce odbijające się od przeszkłonej ściany budynku oślepiło ją na moment, psując cały efekt.

- Jeszcze raz przepraszam. Powinienem być bardziej uważać...

Trudno zaprzeczyć!

- Następnym razem będę szybsza - odparła, cofając się na bezpieczną odległość, w miarę jak on się zbliżał. - Dzięki temu oszczędzę panu kłopotów związanych z przypadkowym rozdeptaniem pracownika.

- Ach, widzę, że dama ma poczucie humoru! - Duże, marzycielskie oczy pod ciemnymi rzęsami rozjaśniły się.

Za to jej się zwęziły.

- Na szczęście. I, choć może to pana zdziwi, mam także imię i nazwisko.

Dużą dłońią odgarnął z czoła potargane włosy. W brązowych oczach zamigotała zabarwiona skrucą wesołość.

- Masz ci los, chwilowo wyleciało mi z pamięci...

- Chwilowo? - Nie wierzyła własnym uszom. - Pracuję w tej przychodni od tygodnia, panie doktorze!

- Od tygodnia?

- Od tygodnia.

- A to się popisałem. - Kąciki jego ust drgnęły w uśmiechu. - Chyba mam głowę dziurawą jak rzeszoto.

I uważa, że to wystarczy, tak?

- Doskonała wymówka, panie doktorze - rzekła ze zjadliwą uprzejmością. - Tym bardziej, że w rzeszocie nie da się przechowywać wody.

Wybuchnął serdecznym śmiechem.

- Świetne! Jeszcze raz przepraszam, naprawdę. Nie chcę się tłumaczyć, ale miałem okropny tydzień. Wybacz mi pani?

- Nie chodzi o przeprosiny, tylko...

- Tylko o co? Przecież wiem, że jest pani pielęgniarką i że zastępuje pani koleżankę. Po prostu nie dosłyszałem, jak się pani nazywa. Naprawdę, nie miałem jednej wolnej chwili.

I nigdy nie będzie miał! Tacy jak Quillan są uzależnieni od adrenaliny, od poczucia, że są potrzebni, rozrywani, upragnieni i uwielbiani zarówno przez pacjentów, jak i personel. Domorośli bogowie. Zupełnie jak Greg. Mężczyzna, o którym próbuje zapomnieć. Źle: mężczyzna, o którym zapomniała. Prawie.

- Nazywam się Duncan. Frances Duncan.

- Frances? - Uśmiechnął się. - Świetnie. Frances, tak. I co, przyzwyczajają się pani? Poznała już pani wszystkich, prawda?

- Oprócz pana - odparła sucho, choć pod wpływem jego spojrzenia po jej szyi pełznął ku twarzy irytujący żar. - Ale korzystając z chwili pańskiej uwagi, panie doktorze, byłabym wdzięczna za parę słów rozmowy na temat Fredericka Clarka. Widziałam go w tym tygodniu; tu są moje notatki - uniosła je wysoko w palcach - które uporządkuję, gdy tylko znajdę wolną chwilę.

W jego oczach znów zabłysło rozbawienie.

- A więc nie uzyskałem przebaczenia. Dama wciąż żywi urazę.

- Nic podobnego!

- Proszę zjeść ze mną lunch, to uwierzę.

- Lunch? - Wzruszyła ramionami.

- Na znak pokoju.

Frances w zdumieniu pokręciła głową.

Dwie minuty temu twierdził, że jego misja wybawiciela ludzkości nie pozwala mu ani na chwilę zejść na ziemię, a teraz w samym środku poniedziałkowej gorączki zaprasza ją na lunch.

Bystro obserwując jej reakcję, odsunął się i obronnym gestem uniósł dłoń.

- Dobrze już, nie musi pani odpowiadać. Zrozumiałem, Frances Duncan. Nie było propozycji. - Wetknął ręce w kieszenie luźnych spodni i uśmiechnął się. - Jak mogę pomóc w sprawie Freddiego? Mam go odwiedzić?

- Byłabym spokojniejsza - skinęła głową. - Choć właściwie nie umiem powiedzieć, w czym problem. Freddie jest karmiony piersią, ale sprawia wrażenie rozdrażnionego i często wymiotuje.

- W porządku. Czy możemy się spotkać o piątej?

- Tak, świetnie.

- Jak to miło słyszeć, że wreszcie zrobiłem coś dobrze. - Najeżyła się natychmiast, ale on odskoczył teatralnie i skierował się na parking. - Do zobaczenia o piątej, Frances Duncan - zawołał wesoło. Słońce tańczyło na jego falujących włosach, nadając im kasztanowy połysk.

Oszołomiona, odprowadziła wzrokiem wysoką, smukłą postać, nie za szczupłą, ale i niezbyt masywną, wyprostowaną, o długich nogach. Doktor Quillan podążał pewnym krokiem do range rovera. Dziwny facet. Prowokujący. Co gorsza, pełen zmysłowego uroku. Ciekawe, czy o tym wie. Range rover zatrąbił i ruszył gwałtownie. Natychmiast oderwała od niego wzrok. Przysłoniła oczy. Minął ją jakiś pacjent.

Zaraz, zaraz, gdzie ja jestem?

Odetchnęła głęboko i zwróciła wzrok na przychodnię Cherry Grove w Cerne Carey. Mimo bezwietrznej pogody poczuła słaby zapaszek świńskiego nawozu. Greg nie znosił prowincji. Był do szpiku kości mieszczuchem. Gdzie on może teraz być, zastanawiała się z gwałtownym, bolesnym skurczem serca. Zapewne pnie się błyskawicznie po szczeblach kariery. Urodzony oficer. Czy gdyby okazała więcej cierpliwości, ułożyłoby się między nimi? Czy kiedykolwiek zechciałby się z nią ożenić?

Oboje wyrosli w rodzinach wojskowych. Ona wstąpiła do Oddziałów Pielęgniarskich Armii Brytyjskiej, on do wojsk inżynierskich. Specjalista od rozbijania bomb. Może z czasem by go przekonała? Pragnęła małżeństwa, dzieci, zwyczajnego życia, wbrew nowoczesnej modzie na partnerstwo. Była gotowa o to walczyć. Aż do tego wybuchu w Irlandii. Greg nie zginął, jeszcze nie. Ale wiedziała, że będą następne takie wypadki i widziała już dość rannych,

by zrozumieć, że śmierć byłaby prawdopodobnie i tak miłosiernym zrządzeniem losu w porównaniu z wegetacją człowieka sparaliżowanego od stóp do głów.

Gdyby Greg kochał ją naprawdę, zrozumiałby to i ożenił się z nią. W końcu przecież sam dowódca sugerował mu, że powinien wziąć urlop i się przekwalifikować. Ale nałóg okazał się zbyt silny. Ostatniego wieczoru w londyńskim mieszkaniu powiedział jej, że postanowił zgłosić się do misji w Zatoce Perskiej...

- Fran?

Drgnęła i odwróciła się. Gillian Grant, jedna z rejestratorek, śpieszyła ku niej, wkładając kurtkę. Pogodne dotąd niebo zaczęło się chmurzyć.

- Jak się czujesz po tym pierwszym tygodniu?

- Wszyscy byli bardzo życzliwi - odparła z lekkim uśmiechem, starając się zatrzeć w pamięci niemiłą myśl o jedynym wyjątku. - Z doktorem Drew i doktorem Keenem nawet wypiliśmy parę kaw.

- A Meg Fellows? Ta to ma energię, co? Frances się roześmiała.

- Z doktor Fellows ucięłam sobie któregoś dnia w sklepie uroczą rozmówkę na temat serów. Oczekiwała tego wieczora gości. Podzieliłyśmy się resztką camemberta pani Dean. Zachichotały obie. Gill rzuciła jej ciekawe spojrzenie.

- No a Bruno Quillan?

- Nie pytaj - skrzywiła się Frances.

- Och, nie przejmuj się Prędkością Światła! To jego przezwisko, wiesz? Jest kochany, tylko trzeba z nim umieć postępować. Co prawda pracoholik, ale miał ku temu wiele powodów. Pewnie słyszałaś... - Gill nagle urwała i pomachała ręką w kierunku samochodu terenowego, który zatrzymał się przy krawężniku. - Muszę lecieć, to mój Keith. Jeśli przyjdzie mu czekać na mnie albo na dzieciaki choćby pięć minut, robi się fioletowy ze złości. Do jutra, Fran.

Frances odprowadziła koleżankę wzrokiem. Na twarzy poczuła pierwsze delikatne muśnięcia majowego deszczu. W zamyśleniu zmarszczyła brwi. Gill

to przemiła dziewczyna, zawsze taka radosna i energiczna. Ze wszystkich trzech rejestratorek od niej dowiedziała się najwięcej, a przecież nie były to plotki. Ciekawe, co chciała powiedzieć o Bruno Quillanie... Zresztą nieważne, nic ją to nie obchodzi. Wie o nim dość, by go sklasyfikować. Pod literką „A”, od arogancji.

Deszcz rozpadał się na dobre. Frances pobiegła do swojego małego białego clio. Ten samochód to był prezent na poprawę nastroju - od siebie samej. Kupiła go rok temu. W końcu należało jej się coś na otarcie łez za te dwa lata, przez które wyobrażała sobie, że jest światłem czyichś oczu, by na koniec przekonać się, że światło to nie jest silniejsze od dwudziestopięciowatowej żarówki.

Energicznie otrząsnęła się z przygnębiających wspomnień i zamrugwała oszołomiona, widząc gwałtowny atak deszczu na przednią szybę. Odruchowo włączyła wszystko, co miała w zasięgu ręki: wycieraczki, dmuchawę, radio, światła.

Tak lepiej. Znowu jest w realnym świecie.

Teraz do sklepu, a potem do domu na Bow Lane, odrabiać zadanie domowe: co dolega małemu Freddiemu Clarkowi. Bo jeśli już Bruno Quillan ma poświęcić małemu swój cenny czas, to po dzisiejszym starciu z pewnością będzie oczekiwał poważniejszego powodu niż jej nieokreślony niepokój.

W sklepie Frances otrząsnęła się z deszczu i z wielkim apetytem wpatrywała się w delicje za oszklonym kontuarem.

- Proszę spróbować - zachęcała pani Dean.

Wkrótce starannie poukładane zakupy spoczęły w torbie. Sprzedawczyni wzięła od Frances banknot i nagle znieruchomiała. Ze zmarszczonymi brwiami wyjrzała przez okno.

- Znowu żebrak? W taki deszcz?

Frances powiodła wzrokiem za jej spojrzeniem. Na smaganym deszczem chodniku o jej clio opierała się zgarbiona postać. Pani Dean cmoknęła.

- W zeszłym tygodniu było ich tu dwóch, grali na gitarach i na jakichś fujarkach. Do czego to dojdzie?

Frances szybko wzięła resztę, porwała torbę i wybiegła ze sklepu. To nie był żaden żebrak, tylko dziecko, chłopiec! Miał dziewięć, może dziesięć lat i był przemoczony do nitki.

- Może ci w czymś pomóc? - zawołała, przekrzykując szum ulewy.

W odpowiedzi, wśród świstów oskrzelowych, dotarła do niej informacja, że uciekł mu autobus.

- Masz astmę? - dopytywała się.

Spod ociekającego wodą kaptura zamrugła para niebieskich oczu, zapewne na znak potakiwania.

Frances jęknęła w duchu. Nie ma rady, trzeba go odwieźć do domu. Chłopiec zgodził się potulnie na jej propozycję i opadł bez sił na miejsce obok kierowcy.

- Mam na imię Frances - ciągnęła, podając mu chusteczkę. - A ty?

- Jack...

Ledwo dosłyszała odpowiedź. Reszta utonęła w świstach i odgłosach wycierania nosa. W końcu jednak dowiedziała się, dokąd ma jechać. Na szczęście знаła tę ulicę. Była tam w ubiegłym tygodniu, u pacjenta. Nie minęło pięć minut, jak skręcała na piaszczysty podjazd wśród mokrych rododendronów. U jego wylotu ujrzała duży, kwadratowy, pomalowany na różowo dom. Jak wielki różowy tort, pomyślała, w ozdobnym zielonym opakowaniu.

- Jest ktoś w domu? - spytała, a gdy przecząco potrząsnął głową, porwała ją złość na swoją głupotę. Że też nie spytała wcześniej! - Ale może masz klucz?

Ku jej wielkiej uldze pogrzebał w kieszeni i wyciągnął cenny przedmiot. Lecz ulga ta wkrótce ustąpiła miejsca przestraszowi. Gdy znaleźli się w domu, chłopiec przebrał się i użył inhalatora, lecz duszność nie ustępowała. .

Frances rozejrzała się po kuchni. Wyciągnęła spod sosnowego stołu krzesło z prostym oparciem i wprawnie usadowiła na nim chłopca w pozycji

ułatwiającej wydech, z szeroko rozstawionymi nogami, wspartego łokciami o oparcie krzesła.

- A teraz... - uśmiechnęła się, starając się dodać mu siły w walce o powietrze - zadzwonię do mamy albo do taty. Możesz mi podać numer, pod którym ich znajdę?

Znów napotkała jego niebieskie oczy: duże, jakby odrobinę smutne i dziwnie znajome.

- Do... taty... - zająknął się i świszczącym głosem podyktował jej numer. Numer, który Frances po kilku sekundach zidentyfikowała, po czym uznała rzecz za nieprawdopodobną. Powtórzyła go szeptem, czując na plecach gęsią skórę, patrząc w niewiarygodnie błękitne oczy, które przypominały inne, brązowe.

Niemożliwe.

Los nie byłby tak perfidny.

Ale wszystko wskazuje na to, że jednak jest.

Ukryła obawę najlepiej jak umiała i poszła do holu zadzwonić pod numer, który już znała na pamięć.

Bruno Quillan w napięciu patrzył na syna. Delikatnie rozluźnił elastyczną taśmę przytrzymującą maskę na twarzy chłopca. Jack Quillan zrobił głęboki, próbny wdech.

- No jak, Tygrysku?

- Le... piej... - wymamrotał Jack.

Ojciec delikatnie rozchylił piżamę i przyłożył stetoskop do szczupłej piersi syna.

Frances obserwowała ich w milczeniu. Ostatnie pół godziny było jak senny koszmar. Tydzień temu nawet nie wiedziała o ich istnieniu, a oto w ciągu kilku godzin los rzucił ją w sam środek rodzinnego dramatu.

Jakie mogło być prawdopodobieństwo, że akurat syna Bruna spotka w deszczu przy swoim samochodzie? Chyba minimalne. I to właśnie dzisiaj, kiedy

doskonale by się obeszła bez jeszcze jednego niefortunnego spotkania z pewnym doktorem. To samo najwyraźniej uderzyło Bruna Quillana, gdy dodzwoniła się do niego do przychodni.

- Mój Jack? - powtórzył z niedowierzaniem - Przecież on jest teraz w szkole. To na pewno jakaś pomyłka.

- Na pewno nie - warknęła, mokra, zmęczona i zniecierpliwiona. Cóż za niemożliwy człowiek! - Uważa pan, że porwałam jakieś obce dziecko i włamałam się z nim do pańskiego domu?

- Nie, skądże...

- Więc przyjeżdża pan, czy ja mam przyjechać z chłopcem? Tak czy owak, to musi być szybko.

Zanim dotarł, stan Jacka się pogorszył. Trzeba było użyć nebulizera. Ojciec napełnił zbiornik wodą, dodał starannie odmierzone dawki leków i łagodnie, cierpliwie nakłaniał chłopca do oddychania przepuszczonym przez roztwór powietrzem.

Frances dygotała w mokrym ubraniu.

- Zimno pani? - Omiótł wzrokiem jej smukłą, filigranową postać, oblepioną zmoczoną przez deszcz cienką, niebieską tkaniną pielęgniarskiego stroju. Zanim zdążyła go powstrzymać, wyszedł z pokoju i została sama z Jackiem, który wpatrywał się w nią ze swojego ciepłego kącika.

- Ta... tata będzie zły - zająknął się znowu. Frances zastanawiała się, czy to stała wada wymowy, czy zdenerwowanie.

- Nie będzie - zapewniła go łagodnie. - Jeśli tylko mu wytłumaczysz, dlaczego nie byłś w szkole, a na pewno potrafisz.

- Może być? - Bruno Quillan pojawił się, niosąc sweter.

- Naprawdę nie trzeba... - odparła zmieszana.

- Nonsens. - Podał jej go, by włożyła. - Rzykuje pani zapalenie płuc. Z ociąganiem wsunęła ręce w rękawy, skrępowana jego bliskością.

- Ciepłej?

Uśmiechnęła się, żeby sprawić przyjemność Jackowi, który przyglądał im się ciekawie.

- Co z przychodnią, skoro pan jest tutaj? - spytała, starannie unikając spojrzenia brązowych oczu.

- Nie ma problemu. Tristan mnie zastępuje. Zresztą i tak już prawie skończyłem dyżur. - Otoczył ramieniem barki syna i łagodnie go podniósł. - Chodź, stary, poleżysz sobie trochę w pokoju.

Frances napotkała jego spojrzenie i uśmiechnęła się. Odprowadziła ich wzrokiem, gdy wychodzili z kuchni. Szeroka dłoń Bruna wicherzyła jasne loki chłopca. Pożałowała, że nie słuchała Gill uważniej. Nie lubiła plotek, ale ta rodzina ją zainteresowała.

Rozejrzała się wokół, szukając jakichś wskazówek. Kuchnia była zastawiona naczyniami i pakunkami, na ścianie wisiały dwie korkowe tablice usiane notatkami, a z otwartej szuflady starej, sosnowej komody wyzierała sterta rupieci. Pani Quillan najwidoczniej dziś nie sprzątała. Może poszła do fryzjera, a może na kawę z innymi opuszczonymi żonami, by planować imprezy dobroczynne?

Usłyszawszy kroki na korytarzu, odwróciła się. Wrócił. Zdawał się wypełniać sobą całą kuchnię.

- Przepraszam, że tak sceptycznie zareagowałem na pani telefon. To po prostu wyglądało zupełnie nieprawdopodobnie.

- Czy pan sugeruje, że celowo wytropiłam pańskiego syna i przywiozłam go tutaj, żeby pana wprowadzić w zakłopotanie?

- Nie, nie. - Wzruszył ramionami. - Wcale nie byłem zakłopotany. Po prostu zaskoczony. I w pierwszej chwili nie mogłem pozbierać myśli.

Postanowiła zmienić temat. Wzięła ze stołu inhalator z ventolinem.

- To, niestety, w ogóle nie podziałało. Czy on często ma takie ataki?

Wziął od niej pojemnik, muskając przy tym przelotnie jej palce. Drgnęła i cofnęła dłoń, jakby od wpływem uklucia. Czy dostrzegł jej reakcję? Wściekła na

siebie zauważyła, że uśmiechnął się lekko z błyskiem rozbawienia w oczach. Następnie jego spojrzenie z zainteresowaniem przesunęło się po jej twarzy i spoczęło na pełnych wargach.

- Ostatnio kilka, choć do niedawna było całkiem dobrze. Dlatego trzymam w domu ten aparat; na wszelki wypadek. Ale do dziś nie musieliśmy go używać. Natomiast nie wiem, dlaczego opuścił lekcje i nie zadzwonił do mnie, żebym po niego przyjechał. To mnie naprawdę martwi.

- Cóż, tego mi nie mówił. Ale jestem pewna, że powie panu w swoim czasie, albo mama to z niego wyciągnie.

Jego twarz nagle się zmieniła. Zesztywniał. Podszedł do dużego okna we wnęce i wyjrzał na dwór.

- Chciałbym, żeby to było możliwe. Niestety, Lindsay, matka Jacka, zmarła, gdy miał cztery lata.

Ty idiotko! - skarciła się w myślach. Ani przez chwilę nie pomyślała, że Jack może nie mieć matki. A powinna. Przecież gdyby żyła, na pewno wspomniałby o niej choć słowem.

- Przepraszam - powiedziała ze współczuciem. - Nie wiedziałam.

- I znów mnie pani zadziwia - oznajmił, odwracając się w jej stronę.

- Dlatego, że nie wiedziałam?

- Tak... tutaj wszyscy o tym wiedzą. Przecież w każdej pracy o takich rzeczach się mówi...

- Jeśli się panu wydaje, że pański personel ma czas na pogaduszki - przerwała ostro - to bardzo się pan myli, panie doktorze. Nikt mi nic nie mówił ani o panu, ani o matce Jacka. A po co miałyby to robić? Ja się tym przecież nie interesowałam!

Rzucił jej dziwne spojrzenie.

- Nerwowa z pani istota, panno Duncan. Czy to ja tak na panią działałam, czy ma pani ogólnie złe zdanie o mężczyznach?

Zaskoczona, wzruszyła ramionami.

- To po prostu śmieszne!
- Prawda?
- Jak... jak pan śmie sugerować...

Nagle roześmiał się i ten dźwięk tak ją zaskoczył, że zupełnie zapomniała, co chciała powiedzieć. Wbiła pałający wzrok w brązowe oczy i to był błąd: promieniowało z nich coś tak bardzo osobistego, hipnotyzującego, że stała oszołomiona, otulona tym czymś niby rozkosznie miękkim, jedwabnym welonem.

- Niczego nie sugeruję - odparł, gdy przestał się śmiać. - Po prostu chciałem panią sprowokować i udało mi się. Jest w pani coś takiego... w tych drobnych ramionach, tych błyszczących niebieskich oczach: coś, co mnie kusi, żeby...

- Proszę łaskawie na przyszłość tłumić te pokusy - mruknęła, starając się odzyskać równowagę, zła, że nie wie, czemu drży. Opatuliła się swetrem, jakby chcąc się od niego odgradzić. - Muszę już iść.

- Hola! - Zastąpił jej drogę. - Wolnego! Ze złością spojrzała mu w oczy.

- Nie mam ochoty tu zostawać i być przedmiotem kpin...

- Nie mam zamiaru kpić z pani. - Spojrzał na nią ze szczerym zatroskaniem. - Czy nie moglibyśmy zacząć od nowa? Wyświadczyła nam dziś pani ogromną przysługę. Chciałbym pani podziękować, a nie obrażać panią. No i babcia nigdy by mi nie darowała, gdybym pozwolił pani tak odejść.

Frances zawahała się, ale ciekawość zwyciężyła.

- Babcia?

- Babcia Jacka - wyjaśnił. - Tylko dzięki jej cudownej pomocy jakoś sobie radzimy. Ale akurat w tym tygodniu Rosa jest nieobecna. Pojechała odwiedzić przyjaciółkę. Może wagary Jacka mają z tym coś wspólnego, choć pojęcia nie mam co. Przed chwilą dzwoniłem do szkoły. Oni też nie wiedzą, dlaczego uciekł.

Żaden komentarz nie przyszedł jej do głowy. Coś musiało wytrącić chłopca z równowagi, i to bardzo.

- Ja, niestety, też nie wiem - westchnęła. - Prawie się nie odzywał. W każdym razie... naprawdę muszę już iść. Proszę pożegnać ode mnie Jacka. Nie będę już go niepokoić.

Skinął głową i otworzył szerzej drzwi od kuchni. Gdy przechodziła obok niego, kątem oka uchwyciła widok opalonej szyi wyłaniającej się zza rozpiętego kołnierzyka, i doznała dziwnego uczucia, jakby w jej piersi zatrzepotał uwięziony ptak. Przeziębienie, stwierdziła racjonalnie, z trudem kierując wzrok na korytarz. Jak tylko dotrzesz do domu, Frances, weźmiesz dwie tabletki paracetamolu.

- Nie wracam już dziś do Cherry Grove - powiedział, odprowadzając ją do wyjścia. - Czy to Freddie Clark panią niepokoi?

Zawahała się. Przed oczami stanął jej widok płaczącego maleństwa, ale przesłoniła go myśl o Jacku.

- To chyba może poczekać. I tak nie potrafię wskazać nic konkretnego...

- Dlaczego matka sama nie poprosiła o wizytę?

- Nie chciała robić zamieszania. Tak mówi. Uważa, że to normalne przy karmieniu piersią. Ale wolałabym, żeby go pan przebadał. Chciałam z panem o tym porozmawiać już w ubiegłym tygodniu, zaraz kiedy pani Clark wyszła ze szpitala, ale nie było okazji.

- Pójdę tam jutro. - Z roztargnieniem przeczesał palcami włosy. W blasku dnia zauważyła bruzdy przecinające jego czoło. Chwilę zastanawiała się, dlaczego aż tak ją zdenerwował. Współczucie nie wygaszło do końca jej złości. Cały poprzedni tydzień czekała tylko na jakiś gest świadczący o tym, że zauważył jej obecność, czekała na zwykłą uprzejmość, kwadrans rozmowy o pacjentach takich jak Sarah Clark i Freddie.

Tymczasem on śmigał po przychodni jak wiatr i nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Roztargnienie czy lekceważenie?

- A może pani też pójdzie ze mną jutro? - zaproponował nagle.
- A Jack? Myśli pan, że będzie mógł iść do szkoły?
- Nie wiem. Zobaczę. Jeśli rano będzie się dobrze czuł, odwiozę go i

wstąpię porozmawiać z dyrektorem.

Nagle cienki senny głos spytał:

- Czy Fran już idzie?

Bruno uśmiechnął się na widok chłopięcej postaci, która przesunęła się przez korytarz i trąciła go w bok. Objął palcami uniesiony ku niemu podbródek.

- Siostra Duncan, Jack.

- Na Boga, nie - zaśmiała się Frances. - Tę sprawę załatwiliśmy jakąś godzinę temu, prawda, Jack? Fran jest w sam raz.

Jack zachichotał.

- Cześć, Fran.

Z trudem oparła się pokusie, by go przytulić. Otulając się szczelnie swetrem, odeszła pośpiesznie.

Gdy dotarła do samochodu, odwróciła się. Jej nowy przełożony stał z ręką na ramieniu syna. Ich oczy - choć jedno niebieskie, a drugie brązowe - wyglądały podobnie: duże, wyraziste, marzycielskie. I obie pary na tę jedną chwilę spotkały się z jej oczami.

Odetchnęła, wsunęła się na siedzenie i opuściła szybę.

- Trzymaj się, Jack! - zawołała.

Odjeżdżając, nie spojrzała w lusterko wsteczne, choć miała przedziwne wrażenie, że Bruno Quillan patrzył za jej samochodem, dopóki nie znikł mu z pola widzenia.

Frances rzuciła okiem na zegar ścienny i wyrwał jej się stłumiony okrzyk. Wpół do ósmej!

Wyskoczyła spod prysznicza i zaczęła się energicznie wycierać. Włosy uwolnione z opaski spłynęły jej po plecach złocistą kaskadą. Włożyła

koronkowe majteczki, stanik i białą jedwabną koszulkę. W tej chwili zadzwonił telefon. Jęknęła, ale podniosła słuchawkę.

- Frances Duncan, słucham - powiedziała z westchnieniem, walcząc jednocześnie ze strojem pielęgniarstka.

- Frances? Nie przeszkadzam? Bruno Quillan!

- Nie - skłamała. - Skądże. Jak tam Jack?

- Zaraz odwożę go do szkoły. Ponieważ będę przejeżdżał przez miasto, może byśmy się spotkali u Clarków? Powinienem u nich być kwadrans po dziewiątej.

Będzie musiała się bardzo pośpieszyć, ale przecież nie może stracić takiej okazji.

- Dobrze. Będę tam. Proszę pozdrowić Jacka.

- A może sama to pani zrobi?

Dały się słyszeć jakieś szmery, a potem nieco świszczące „Dzień dobry”.

- Lepiej się czujesz?

- Trochę.

- Pamiętaj, żadnych skoków ze spadochronem przez najbliższe dwanaście godzin. To ci mówi pielęgniarka.

Ucieszył ją śmiech w słuchawce.

- Muszę iść. Do widzenia, Fran.

Pożegnała go i odłożyła słuchawkę z niezrozumiałym skurczem serca. W końcu jak długo zna to dziecko? Poza tym masa dzieciaków choruje na astmę, a potem z tego wyrasta. Z nim pewno też tak będzie.

A jednak ubierając się, wciąż o nim myślała. Ciekawe, czy ojcu udało się dowiedzieć, czemu uciekł ze szkoły?

Gdy zajęła przed dom Clarków, Bruno już na nią czekał.

- Dziś jest pani suchsza - zauważył, witając ją na chodniku.

Tego ranka był starannie ubrany. Na jego szerokiej piersi spoczywał dostojnie niebieski krawat, ładnie harmonizujący z ciemnoniebieską koszulą, pod którą dyskretnie rysowały się mięśnie.

- Czego się pan dowiedział w szkole? - spytała.

- Niczego. Do zeszłego tygodnia wszystko było w porządku. Z niego też nic nie wyciągnąłem i nawet nie bardzo się starałem. Dziś chyba dość chętnie poszedł. Może tylko lekko się przeziębił.

Nie byłoby w tym nic dziwnego. Sama się tego obawiała.

- Może się jakoś rozejdzie po kościach.

- Może - zgodził się uprzejmie.

Spojrzała w nieprzeniknione, brązowe oczy i znów poczuła to dziwaczne trzepotanie pod żebrami.

Zaczerwieniła się i umknęła wzrokiem w bok.

- Cóż... Co do Freddiego, to niestety nie mam wiele do powiedzenia.

Właściwie nic oprócz tego, że według mnie ta skłonność do wymiotów powinna już ustępować.

- Czy to utrudnia karmienie? - spytał, naciskając dzwonek.

- Nie... To znaczy jego matka nic takiego nie mówiła.

Drzwi się otworzyły i w progu stanęła ciemnowłosa kobieta w niemowlęciem w ramionach. Wyglądała na zaskoczoną. Bruno Quillan wyjaśnił, że razem z Frances postanowił złożyć jej wizytę domową i spytał, czy zgodzi się poświęcić im kilka minut. Sarah Clark zawahała się, lecz po chwili wpuściła ich do środka. Mały Freddie, właśnie nakarmiony, spoczął na miękkim materacyku i zaczął ćwiczyć płuca.

- Jak z wagą? - spytał Bruno, zbadawszy niemowlęciu serce i fikające różowe nóżki.

- No... trochę oczywiście schudł. - Matka niedbale wzruszyła ramionami. - Jak to na początku. Ale położna była zadowolona.

Bruno skinął głową. Rozczapierzone paluszki zacisnęły się na jego kciuku,

- Dobrze. A jak jest w nocy?

- Okropnie - westchnęła Sarah. - Ale jakoś sobie radzę.

- To znaczy, co się dzieje okropnego? - dopytywał się Bruno łagodnie.

- Och, nic takiego. Chyba po prostu Joanna mnie rozpuściła. Ona była idealna. Kiedy miała zaledwie dwa tygodnie, przesypiała całą noc do szóstej.

W tej samej chwili niemowlę dostało czkawkę i z wymiotowało na sukienkę stojącej obok Sarah. Frances szybko pośpieszyła z chusteczką higieniczną.

- Trochę wymiotuje - dodała Sarah. - Ale z Joanną było tak samo. Chyba mam tłusty pokarm.

Bruno zatrzasnął teczkę.

- Stolce prawidłowe?

Sarah skinęła potakująco głową, zerkając znowu na Frances.

- Ale... chyba państwo niczego nie podejrzewają? To znaczy, nic mu nie jest, prawda?

- Poza ulewaniem zdrowy z niego malec - zapewnił ją Bruno z uśmiechem. - Ale w przypadku wymiotów, a właściwie w każdym przypadku, kiedy jakieś nietypowe zjawisko utrzymuje się dłużej, musimy mieć oczy i uszy otwarte.

- Odwiedzę panią pod koniec tygodnia - obiecała Frances. O dziwo, młoda kobieta nie okazała szczególnego entuzjazmu. Chyba nie była zachwycona, że przyszli bez uprzedzenia.

Z noworodkami zawsze jest mnóstwo roboty, więc pewnie każda nieoczekiwana wizyta trochę przeszkadza. Gdy stanęli na chodniku obok range rovera, Frances podzieliła się swoim spostrzeżeniem z Brunem.

- Może ponosi mnie wyobraźnia - westchnęła, oglądając się na dom Clarków - ale wydaje mi się, że Sarah była jakaś spięta. Odkąd wyszła ze

szpitala, widziałam ją trzy razy i za każdym razem miałam uczucie, że trzyma mnie na dystans.

- Depresja poporodowa?

- Może...

- A dziecko to wyczuwa, stąd niepokój i wymioty? Kątem oka Frances złowiła poruszenie firanki w oknie.

- Pójdę już. Spotkamy się w przychodni?

On także jakoś nie mógł oderwać wzroku od domu Clarków.

- Hm... tak. Proszę tylko zdążyć przed trzecią. Później muszę pojechać po Jacka.

- Oczywiście... Bo pan jest z nim w tym tygodniu sam, prawda?

- Niestety! - Z męczeńską miną wznosił oczy ku górze.

Zanim zdążyła się zastanowić, z jakiegoś niepojętego powodu zaproponowała impulsywnie:

- Jeśli pan chce, to ja odbiorę Jacka. Szkoła podstawowa w Cerne Carey, prawda? Mam dziś być tuż obok, w domu opieki.

- Na pewno nie sprawi to pani kłopotu?

Teraz już było za późno, żeby się wycofać. Co, u licha, przyszło jej do głowy, żeby z tym wystąpić?

- Nie, żaden kłopot. I... jeśli uważa pan, że może mi powierzyć syna, to zabrałabym go do siebie na podwieczorek.

Przyglądał jej się chwilę. Co ja wygaduję, pomyślała nagle. Nie dość, że wpakowałam się niepotrzebnie, to z każdym słowem pograżam się głębiej.

- Wobec tego zgoda. - Uśmiechnął się szeroko. - Jeśli rzeczywiście nie sprawi to pani kłopotu, zadzwonię do szkoły i uprzedzę, że pani go odbierze.

Wsiadała do samochodu z wypiekami na twarzy. Coś ty narobiła? - lamentowała w duchu. W odpowiedzi natychmiast włączył się inny, racjonalny głos. Po prostu okazałaś ludzką troskę po wczorajszym dniu, bo polubiłaś tego chłopca i... i... I co jeszcze?

Jest po prostu uczynna i tyle.

Weźmie Jacka na dwie godziny do siebie, a potem odwiezie bezpiecznie do domu, bez żadnych ukrytych motywów. Zrobiłaby to samo dla każdego.

Dostrzegła w lusterku swoje niewinne, niebieskie oczy i uprzytomniła sobie, że kłamie. I to na potęgę. Odwróciła wzrok, nie chcąc wyczytać z nich prawdziwej odpowiedzi.

ROZDZIAŁ DRUGI

Gabriel Bally, kolejny pacjent Frances, miał czterdzieści dziewięć lat i cierpiał na zaburzenia żołądkowe. Z zawodu architekt, miał bardzo stresującą pracę i już przy pierwszym spotkaniu w ubiegłym tygodniu Frances zwróciła uwagę, że najwyraźniej dręczy go jakiś niepokój.

Dokumentacja Benity była bardzo wyczerpująca, ale Frances nie mogła się pozbyć uczucia zatroskania. Dolegliwości żołądkowe wciąż nie ustępowały. Teraz wrócił właśnie z badania endoskopowego przełyku. Jego młoda żona grzecznie, ale stanowczo poprosiła Frances, by przyszła za tydzień. Pacjent podobno spał.

Odjeżdżając spod ich luksusowego domu, Frances zastanawiała się, czy następna osoba przyjmie ją tak samo niechętnie jak pani Bally i Sarah Clark. Gdyby Bruno Quillan trochę jej pomógł, bo przecież to wszystko są jego pacjenci, może poszłoby jej lepiej.

Na szczęście kolejna pacjentka, mieszkanka domu opieki w pobliżu szkoły, nie stwarzała takich problemów. Frances spędziła z nią nawet więcej czasu niż zazwyczaj i gdy podjechała pod szkołę, Jack już czekał. Wsiadł do clio z plecakiem wypchanym książkami.

- Jedziemy na wizyty? - spytał.

- Nie, skończyłam na dzisiaj. Dzwoniłam do kilku ostatnich pacjentów i pytałam, czy nie będą mieli nic przeciwko temu, że przyjdę jutro.

Jack się zamyślił.

- Pielęgniarka chyba ma lżejszą pracę niż lekarz.

- Cóż... - uśmiechnęła się Frances. - Być lekarzem to wielka odpowiedzialność...

- Właśnie - wtrącił Jack dojrzałym tonem. - Babcia zawsze mówi, że tata tak ciężko pracuje, że musimy doceniać każdą chwilę, którą spędzamy razem i starać się, żeby była jak najmiłsza.

Uniósł drobny podbródek, a jej ścisnęło się serce. Uświadomiła sobie, że w czasie ich krótkiej znajomości wiele już się o nim dowiedziała. Jack najwyraźniej bardzo dobrze odczuwał, ile mu się poświęca uwagi. Wiedział, jak wygląda rzeczywistość. Nawet mówił o tym jak dorosły. Ale pod przykrywką dojrzałości dostrzegała tyle dziecięcej bezbronności, że to aż bolało. W pierwszym porywie pomyślała, by się nim zaopiekować.

Nie ma potrzeby. On ma babcię i ojca, którzy go kochają. A jednak to pytanie nie przestawało jej dręczyć: ile czasu poświęca rodzinie zapracowany doktor Quillan? Jeśli tak dużo, to znaczący tak mało jak swojemu personelowi...

Przestań, powiedziała sobie z irytacją. Nie twoja sprawa. To jest po prostu dobry uczynek na dzisiaj. Połowa jej świadomości chciała w to wierzyć. Drugiej połowy nie miała zamiaru słuchać.

Zjedli makaron i mus z czekoladą. Jack opowiadał jej o swoim komputerze. Potem trochę pograli w karty i nawet udało mu się wygrać.

Gdy ciepłe majowe słońce zniknęło za najeżoną kominami linią horyzontu, Frances zerknęła na zegarek.

- Już ósma, Jack. - Sama była zaskoczona.

- Mu... muszę iść? - Zaciął się dziś po raz pierwszy. Frances zdążyła już zapomnieć i o astmie, i o jękanii.

- Raczej tak. Obiecałam twojemu ojcu, że będziemy najpóźniej o ósmej.

- Ale ta... taty na pewno nie będzie w domu i babci też nie ma. - Znów się zająknął. Doszła do wniosku, że trudności w wymowie to skutek zdenerwowania.

- Jeśli go nie będzie, to z tobą zostanę. Będziesz mógł mi pokazać ten wspaniały komputer.

Rozpromienił się i wetknął dłonie w kieszenie dżinsów. Z czułością patrzyła na jego drobną figurkę. Jak na dziesięć lat, był mały. Wyglądał raczej na osiem; budową wcale nie przypominał Bruna. Już raczej ją. Oboje mieli na sobie bawełniane koszulki - Jack białą, a ona szaroniebieską, pod kolor oczu. Jej długie, jasne włosy miały odcień bardziej popielaty niż Jacka, poza tym były proste, mocne, a jego delikatne i falujące. Uchwyczone w lustrze ich wspólne odbicie wstrząsnęło nią. Można by pomyśleć, że są spokrewnieni - podobna karnacja, włosy, drobna budowa. Jak więc mogła wyglądać Lindsay Quillan? Tak jak ona?

Tymczasem chłopiec pozbiierał swoje rzeczy i cicho stał w drzwiach, czekając, aż Frances znajdzie klucze. O dziwo, przez cały ten wieczór jej myśli ani razu nie zbłądziły w stronę Grega.

Jack miał rację. Bruna nie było w domu. Różowy dom sprawiał wrażenie smutnego i opuszczonego, lecz w ciepłym zmierzchu ogród roztaczał cudowny zapach. Jack wygrzebał z kieszeni klucz. Ku przerażeniu Frances w jego oddechu pojawiła się świszcząca nuta.

Włączyli światło. Frances przyrządziła coś do picia, a Jack poszedł na górę wziąć lekarstwo i przebrać się.

Gdy zszedł na dół, jakoś się nie palił, by pokazać jej swój ukochany komputer, więc zajęli się czytaniem.

O dziewiątej Bruno wpadł do domu jak burza.

- Boże... Przepraszam! Która to godzina?

Frances, zwinięta obok Jacka na sofie, podniosła wzrok znad „Kopalni króla Salomona”.

- Nie mam zielonego pojęcia. Zresztą nic się nie stało. Czytaliśmy książkę.

- Obiecałem, że będę o ósmej...

- Naprawdę nie szkodzi. - Zamknęła książkę i opuściła stopy na podłogę. Zatraskane brązowe oczy spoczęły na Jacku.

- Jak minął dzień, Tygrysku?

Jack potarł oczy i Frances uprzytomniła sobie, że jest bardzo zmęczony. Lek, który zażył wcześniej, powstrzymał napad astmy, ale oddech chłopca nadal nie był zupełnie prawidłowy. Może jednak teraz, skoro ojciec jest w domu, wszystko się uspokoi.

- Wygrałem w karty - uśmiechnął się i ziewnął szeroko. Bruno z widoczną ulgą opadł na krzesło.

- Boże, od wieków nie grałem.

- Fran ma fajne mieszkanie. - Teraz ziewnął tak, że ojciec stwierdził, iż najwyższy czas posłać go do łóżka. Frances zerwała się i niemal pobiegła do drzwi.

- Proszę zostać na kawie - zaproponował uprzejmie gospodarz. - Niechże pani pozwoli, że choć tak się odwdzięczę za to, co pani dla nas zrobiła.

- Nie, dziękuję, ale nie mogę. - Potrząsnęła głową. - Jest już późno, a ja muszę jeszcze przejrzeć parę kart.

- Proszę przynajmniej pozwolić, że odprowadzę panią do samochodu. Jack, ty już idź na górę. Zaraz przyjdę.

- Dobranoc, Fran.

Chłopiec wstał i stał przed nią w swym za dużym szlafroku. W pierwszym odruchu chciała go pocałować i już się nachylała, ale nagle uprzytomniła sobie, że to pewnie ostatnia rzecz, na jaką on miałby ochotę. Rzuciła więc jakiś żart i odprowadziła go wzrokiem, gdy chichocząc wbiegał po schodach.

Wzięła z krzesła swoją torbę i ruszyła ku drzwiom. Delikatne, wonne powietrze nocy ukoło nieco jej rozedrgane zmysły. Bruno szedł obok z rękami w kieszeniach.

- A teraz już proszę wrócić do Jacka - powiedziała, przystając przy samochodzie. - Dobranoc.

Odkąd wrócił, marzyła tylko o tym, by jak najszybciej się stąd wydostać. Nie wiedzieć czemu czuła się winna. Czy dlatego, że była u niego w domu? Z jego synem? A on wcale jej o to nie prosił. I wczoraj też mogła zawieźć Jacka do przychodni; niechby ojciec sobie radził...

- Frances? - Położył dłoń na klamce, nie pozwalając jej otworzyć drzwiczek.

Podniosła wzrok. Serce biło jej jak oszalałe.

- Tak?...

- Przepraszam za dzisiaj. Wróciłem nieprzyzwoicie późno. I Jack znowu ma duszności.

- O której pan przychodzi do domu, to wyłącznie pańska sprawa i mnie nic do tego...

- Wcale pani tak nie myśli - zauważył łagodnie. - Uważa pani, że Jack poczuł się gorzej, bo mnie nie było w domu. Bóg jeden wie... - westchnął ciężko. - Do tej pory ani przez jeden dzień nie musiałem sobie radzić bez pomocy Rosy. Nie zdawałem sobie sprawy, że tak nam jej będzie brakować. - Frances odniosła wrażenie, że przygarbił się nieco, dodając trochę ciszej: - Widzi pani, gdy już miałem wychodzić do domu, dostałem jeszcze jedno wezwanie. Starszy pan z rakiem wątroby. Zmarł wkrótce po moim przyjeździe.

Nagle zrobiło jej się go żal. To musi być czasem nie do zniesienia: ten konflikt między obowiązkiem ojca a powinnością lekarza, między wzajemnie się wykluczającymi priorytetami. Gdzieś nad ich głowami odezwała się sowa, wydając ten trochę niesamowity odgłos nocnego czuwania. Frances miała wrażenie, że odpowiada jej echem rozgwieżdżone niebo, kwiaty i grające

niezmordowanie owady w ogrodzie... i jej własne serce, jak lękliwy, szepczący duszek.

Nagle, tak jakby to była najzwyklejsza rzecz pod słońcem, ciemna postać oderwała się od jej samochodu, ujęła jej dłonie i powolnym, płynnym ruchem zamknęła ją w ciepłym kręgu swych ramion. Poczuła na policzku dziwny, jakby wstrzymywany wahaniami oddech człowieka, którego znała od kilku dni, a przecież miała uczucie, że od zawsze, i nagle zachwiała się, zatoneła, przepadła, gdy on nachylił się i pocałował ją prosto w usta.

Później uprzytomniła sobie, że trwało to tylko moment.

Zbyt szybko ciepłe palce musnęły jej policzek. Otworzyła oczy i spojrzała mu w twarz. Jej wargi płonęły; przesunęła po ustach koniuszkiem języka, jakby chcąc sprawdzić, czy został na nich jakiś ślad.

- Jesteś taka cudowna... - powiedział półgłosem, nie wypuszczając jej z objęć.

Przymknęła oczy, dziwiąc się, co też najlepszego zrobiła. I co on zrobił. Wprost nie do wiary, że na to pozwoliła! Lekko, przelotnie dotknął jej włosów.

Wtedy oderwała się. Teraz świadomość tego, co zaszło, dotarła do niej w pełni i wprawiła ją w zamęt.

Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Widziała wyraźnie jedynie zarys jego twarzy. Zadrżała na wspomnienie jego kłującego zarostu, gdy ją całował.

- Jeśli będziesz tak dalej stać i patrzeć na mnie - odezwał się cicho - to nie odpowiadam za siebie. Lepiej już jedź.

Nie w pełni świadoma tego, co robi, otworzyła drzwi, wsiadła i drżącymi rękami próbowała uruchomić silnik, aż w końcu zdołała zbudzić go do życia. Samochód rzucił się do przodu zabim skokiem. Nie odważywszy się zerknąć w lusterko wsteczne, dodała gazu i pomknęła po piaszczystej drodze.

Wyjechała na szosę, z trudem zmuszając się do zachowania uwagi, przejechała przez centrum Cerne Carey, w końcu wjechała na Bow Lane i zahamowała gwałtownie.

Odpięła pas i zdrewniałymi palcami potarła twarz.

Nawet przecież nie lubi tego faceta, a pozwoliła, by ją pocałował... i, Boże wszechmogący, ona chyba nie odwzajemniła pocałunku? Niemożliwe.

I naraz wszystko do niej wróciło. Każdy oddech, każde drgnienie, łagodny ucisk delikatnych warg.

O, nie. O, tak.

Tak.

To od Tristana Keena dowiedziała się następnego dnia, że Bruna dziś nie będzie.

- Dziś rano ja przyjmuję wszystkich pacjentów Bruna - powiedział recepcjonistce. - A po południu Nigel. Jeśli ktoś chce koniecznie zobaczyć się z Brunem, musi poczekać do przyszłego tygodnia. Bruno wziął kilka dni zaległego urlopu.

Słyszając to, Frances oderwała wzrok od monitora komputera. Serce w niej zamarło. Czyżby Jack rozchorował się na dobre? Wtedy, skoro Rosa jest nieobecna, Bruno musiałby zostać w domu. A jeśli to nie ma nic wspólnego z Jackiem, tylko z tym, co zaszło między nimi?

Dlaczego pozwoliła mu się pocałować? Nie było to mądre. Ich stosunki są i tak skomplikowane, a tu, jakby nie dość tego, on pozwala sobie na coś takiego, a ona nie protestuje. Tyle miesięcy myślała tylko o Gregu, po czym dała się całować obcemu człowiekowi. To pewnie dlatego, że wciąż jeszcze nie doszła do siebie po rozstaniu z Gregiem. Poza tym doskwiera jej samotność: tęskni za Londynem, przyjaciółmi, pracą w mieście. Pocieszywszy się tym racjonalnym wytłumaczeniem absurdalnego wydarzenia, uznała, że poprzedniego wieczoru popełniła po prostu ogromny błąd. Niech diabli porwą tego typu, który to wszy-

stko spowodował! Teraz ona ma przed sobą sześć miesięcy udawania, że nic się nie stało.

Dzień włókł się niemiłosiernie. Frances miała siedem wizyt; przeważnie były to proste kontrole pooperacyjne. Na przykład Richard Grove, trzydziestośmioletni budowlaniec był po zabiegu z powodu przykurczu ścięgna dłoni, po ostrym zapaleniu i nieudanym leczeniu sterydami.

- Nieciekawie to wygląda, co? - spytał pochmurnie, gdy obejrzała ranę i założyła nowy opatrunek.

Zdaniem Frances nie było to nic szczególnego.

- Kiedy ma się pan zgłosić do lekarza? - spytała, widząc, jak mężczyzna niecierpliwie próbuje zginać kciuk.

- Za tydzień. Nie mogę się doczekać.

- Musi pan uważać, żeby tego nie zainfekować. Nie wolno panu za wcześnie wrócić do pracy.

- Pracuję na własne konto. Nikt za mnie rachunków nie płaci. A jak ostatnio mówiłem Brunowi Quillanowi, prywatna szkoła mojego chłopaka pochłania majątek. Tacy jak nasz doktor nie muszą się martwić. Dla niego chesne to pestka.

- Ależ syn doktora Quillana chodzi do państwowej szkoły, tu, w Cerne Carey.

- Jak znam życie, to już niedługo. Syn lekarza w takim środowisku? Jeśli ja mogę sobie pozwolić na prywatną szkołę, to tym bardziej on.

Frances powściągnęła ciekawość i spokojnie się pakowała, podczas gdy jej zrzędlawy pacjent nadal przywoływał świat do porządku. Nie wspomniał jednak więcej o Brunie. W każdym razie z jego wypowiedzi wywnioskowała, że pewnie dobrze się znają.

Daj sobie spokój, Frances Duncan, strofowała się w drodze na Bow Lane. Przestań myśleć o Quillanach. Tymczasem jej umysł wciąż na nowo odtwarzał scenę owego nieszczęsnego pocałunku.

Wieczorem, w domu, po trosze oczekiwała telefonu. Mam jeszcze jego sweter, pomyślała nagle. Tak jakby to miało jakieś znaczenie!

Nie pokazał się w pracy ani w czwartek, ani w piątek. Po weekendzie uznała, że jest jeszcze bardziej arogancki, niż jej się na początku wydawało. Czy ktoś z odrobiną przyzwoitości nie zadzwoniłby przynajmniej, nie powiedział, że mu przykro? Ona przecież jest nowa w tej pracy, tymczasem on przez cały pierwszy tydzień ją ignorował, a w drugim pozwolił sobie na taką zaczepkę! Nie do wiary!

Jej wściekłość łagodziła jedynie myśl o Jacku. Jest takim uroczym dzieckiem, nie zepsutym i wrażliwym. Budził w niej opiekuńcze instynkty. Ale i to było niemądre. Jak może pozwolić sobie na przywiązywanie się do dziecka, którego ojcem jest Bruno Quillan?

Z roztargnieniem wzięła jego sweter i przytuliła go do twarzy.

Westchnęła, wdychając emanujący z niego cytrusowy zapach. Co za głupia historia!

Gdy ujrzała go znowu, wbrew przewidywaniom zachowała zimną krew. Była spokojna i opanowana. Czy naprawdę wydaje mu się, że bezkarnie może ją tak traktować? Prawda, w pierwszej chwili, kiedy zobaczyła, jak wysiada z range rovera, odsunęła się od okna, oparła o ścianę i głęboko zaczerpnęła powietrza. Prawda, serce jej podskoczyło i utknęło gdzieś w gardle. Ale mimo tych fizycznych objawów, z pewnością spowodowanych złością, postanowiła panować nad sobą i podejść do sprawy na zimno. Tak samo jak on.

Była pewna, że nie przyjdzie do jej pokoju. W rejestracji, jak zwykle zresztą w poniedziałkowy rano, czekało na niego mnóstwo spraw.

Myliła się. Po chwili wszedł do jej pokoju, a jego oczy zabłyśły na jej widok.

- Frances...?

- Dzień dobry, panie doktorze - powiedziała oficjalnym tonem, prostując się. W rękę trzymała dokumentację pacjenta. To spotkanie służbowe. Po prostu.

Zamknął drzwi i odgarnął włosy z czoła.

- Frances, ja...

- Jak się czuje Jack? - Dzięki Bogu zdołała złożyć kilka słów w sensowną całość.

- Raz lepiej, raz gorzej. Jakoś daje sobie radę. Frances, muszę z tobą porozmawiać.

- Babcia wróciła?

Z lekkim zniecierpliwieniem odrzucił głowę do tyłu.

- Tak, wróciła. Frances, chciałem do ciebie dzwonić... - Ruszył w jej stronę. - Gdzie możemy porozmawiać?

Gwałtownie przycisnęła papiery do piersi.

- Nie! To znaczy... jeśli ma mi pan coś do powiedzenia, to może pan powiedzieć to tutaj.

- Naprawdę chcesz zaryzykować?

- Nie rozumiem.

- Czyżby? - Uniósł brwi. - Och, daj spokój. Rozumiesz doskonale.

- Panie doktorze... Pochylił się ku niej.

- Przyjdź do nas dziś wieczorem - poprosił łagodnie.

- Ciekawe po co! Musiałabym być całkiem pozbawiona rozumu, żeby się narażać na zachowania, na które nie pozwoliłby sobie nawet niedorostek! - Cholera, źle. Nie należało o tym wspominać. Jego rzeczą jest przeprosić. To nie ona powinna się palić ze wstydu.

- Kto się zachował jak niedorostek? Ja czy ty?

Chętnie by czymś w niego cisnęła, ale dokumentacja pacjenta była zbyt cenna.

- Jak pan może mówić coś podobnego! Doskonale pan wie, jak się pan zachował...

- A kobieta, wobec której się tak zachowałem, jakoś się nie wyrywała. Odniosłem wrażenie, że bardzo dobrze się czuła.

Serce w niej zamarło, gdy usłyszała to oskarżenie, ale zaraz ogarnęła ją złość.

- Odniosł pan mylne wrażenie. A teraz przepraszam... Ruszyła do drzwi, lecz zastąpił jej drogę.

- Nigdzie nie pójdziesz, dopóki nie zgodzisz się ze mną porozmawiać.

- Już się zgodziłam i to do niczego nie doprowadziło!

- Nie powiedziałbym. - Wzruszył ramionami. - Uważam, że parę drobnych spraw już sobie wyjaśniliśmy.

Frances odetchnęła głęboko.

- Zechce pan łaskawie... - zaczęła, lecz zamilkła na widok otwierających się drzwi. Nigel Drew wetknął głowę do gabinetu i przyjrzał im się ze zdumieniem. Odniosła wrażenie, że zauważył przede wszystkim jej rozognione policzki i pałające oczy. Potem przeniósł wzrok na Bruna.

- A, tu jesteś! - sarknął. - Wszędzie cię szukam. Mam u siebie jedną z twoich pacjentek. Może byś tak przyszedł?

Bruno rzucił jej rozbawione spojrzenie i opuścił pokój, zostawiając ją zmieszaną z powodu zaciekawionego spojrzenia Nigela. Tego tylko brakowało, pomyślała w rozpacz. W pół miesiąca zdobyć sobie podejrzaną reputację to niezły wyczyn, a nie ma wątpliwości, że to właśnie ją czeka, jeśli jeszcze raz da się zaskoczyć w takiej sytuacji: sama z Quillanem w atmosferze naładowanej elektrycznością.

Było jednak za późno, by cokolwiek zrobić. Nigel wyszedł. Gdy otworzył drzwi, przez chwilę słyszała głosy rejestratorek oraz odpowiedź Bruna. Potem drzwi znów się zamknęły i wszystko ucichło.

Ależ ten człowiek ma tupet! Nie do wiary! Odczekała chwilę, po czym pośpiesznie opuściła przychodnię.

Pojechała do siebie, zjadła lunch, zafundowała sobie koktajl owocowy obficie doprawiony śmietanką i nieco ochłoneła. Potem pojechała na wizytę domową do Madjur Rasti.

To był trudny przypadek, wymagający pełnej koncentracji. Była już u Madjur dwa razy i za każdym razem zastawała ją w złym stanie. Mając zaledwie trzydzieści dwa lata, Madjur padła ofiarą reumatoidalnego zapalenia stawów, a teraz, w wieku czterdziestu jeden, była już poінwalidką.

Nie od razu otworzyła drzwi. Jej twarz nosiła wyraźne ślady płaczu.

- Przepraszam, siostrze - powiedziała bezbarwnym głosem. - Czuję się strasznie. Raczej nie nadaję się do rozmowy.

Frances zawahała się. Nie chciała się narzucać.

- Boli panią, Madjur?

Chora skinęła głową, opierając się o drzwi.

- Nie mogę zgiąć nogi w kolanie i jest mi niedobrze.

- Mogę zajrzeć tylko na chwilę? Może potrafię jakoś pomóc.

Madjur wpuściła ją z ociąganiem. Powolutku przeszły do pokoju. Stawy kolanowe były opuchnięte, zwłaszcza jeden, bardzo wrażliwy na dotyk i niemal unieruchomiony. Kobieta sprawiała wrażenie pograżonej w apatii, pozbawionej chęci do życia.

- Wezwę lekarza - oświadczyła Frances, gdy już pomogła pani Madjur usiąść na kanapie, po czym zadzwoniła do przychodni i poprosiła o wizytę lekarza dyżurnego.

Jakieś dwadzieścia minut później otworzyła drzwi i ujrzała w nich Bruna.

- Co się stało?

Ulga, że nie jest już sama, kazała jej chwilowo zapomnieć o niechęci do niego.

- Moim zdaniem ma paskudne zaostrzenie. Bóle są bardzo silne, a aspiryna szkodzi jej na żołądek. Ponieważ ma nudności, przestała w ogóle brać leki. Wobec tego ból się jeszcze nasilił. Błędne koło.

Po dokładnym zbadaniu chorej Bruno zdecydował się na punkcję stawu kolanowego. Po zabiegu Frances zabandażowała kolano i razem ułożyli Madjur na kanapie. Bruno usiadł obok w fotelu, by z nią porozmawiać. Jego głos działał

uspokajająco i na Frances. Był łagodny, ale nie owijając w bawełnę Bruno wyjaśnił Madjur, że stoi przed perspektywą operacji.

- Nie ma mowy - odparła kobieta znużonym tonem. - Mój ojciec miał operację i po niej nigdy nie doszedł do siebie.

- Chorował na to samo? - spytał Bruno.

- Tak. - Madjur kiwnęła głową. - Ojciec był Anglikiem i cierpiał na straszny reumatyzm. Moja matka, która pochodzi z Delhi, przez całe życie nie chorowała ani jednego dnia.

- Rozumiem pani opory - zgodził się Bruno - ale powtarzamy punkcje tak często, że naprawdę czas pomyśleć o operacji. Staw w stanie zapalnym drażni kaletkę i pobudza ją do ciągłej produkcji płynu wysiękowego. Zajęty jest także staw biodrowy i skokowy...

- Nie! - Z wymizerowanej twarzy spojrzały na niego wielkie, przerażone oczy. - Dziękuję, doktorze, ale... nie chcę.

Jej czarne włosy były zmatowiałe i przerzedzone. Tymczasem ze ślubnego portretu nad kominkiem spoglądała w dal piękna, młoda kobieta w sari. Frances przyglądała się fotografii, współczując pacjentce.

Madjur zauważyła jej spojrzenie.

- Trudno poznać, że to ja, prawda?

- Możemy pani pomóc, Madjur - westchnął Bruno. - Już pani mówiłem o endoprotezie stawu biodrowego. Wiem, że pani sobie tego nie życzy, ale przynajmniej zrobimy coś z tą kaletką. Nie będzie pani musiała długo czekać. Możemy pani zorganizować transport do szpitala, gdzie będzie pani miała zabieg z miejscowym znieczuleniem, jeśli pani tak woli. Wszystko razem zajmie jedną dobę.

Nie doczekał się jednak odpowiedzi. Wreszcie, ułożywszy chorą jak najwygodniej, wyszli. Gdy dotarli do swoich samochodów, Bruno z westchnieniem pełnym irytacji ciężko rzucił swoją walizeczkę na przednie siedzenie.

- Już to wszystko przerabialiśmy. Ona woli zaciskać zęby i znosić punkcje i sterydoterapię. W ostatnich dwóch latach jej stan się bardzo pogorszył. Teraz już zajęty jest nawet kręgosłup szyjny. W jej przypadku usunięcie kaletki to naprawdę niezbędny i niegroźny zabieg.

- Wyczytałam w karcie, że mieszka sama - zauważyła Frances z wahaniem. - A przecież jest mężatką i ma piętnastoletnią córkę.

- Małżeństwo się rozpadło. Mąż z córką wyjechali do Indii.

- Ale są obywatelami brytyjskimi?

Bruno przytaknął.

- To skomplikowana sprawa. Rodzina męża chciała ściągnąć dziecko. Mąż, jak rozumiem, nie mógł się pogodzić z chorobą żony i dał się namówić na powrót do Delhi. Od dwóch lat Madjur jest sama.

- A fizjoterapia?

- Odmawia. Nie chce słyszeć o szpitalu. Nigdy do mnie nie dzwoni. Czasem wydaje mi się, że po prostu nie chce żyć.

- Przecież musi być jakaś możliwość, żeby jej pomóc. Może opieka społeczna? Jakieś konsultacje?

- Myślisz, że nie próbowałem? - spytał ostro. - Ale przecież nie mogę jej zmusić do przyjęcia pomocy.

Frances zeszywniała.

- Oczywiście, że nie! Ale ja nie jestem jasnowidzem, panie doktorze! Gdyby omówił pan ze mną wcześniej przypadek Madjur, byłabym świadoma tych problemów. Przykro mi, jeśli się powtarzam, ale takie są fakty. - Z kamienną twarzą schowała kartę do torby. - Cóż, nie będę pana dłużej zatrzymywać.

Szarpnął drzwi range rovera i już myślała, że zamierza ją tak zostawić, ale nagle odwrócił się i spytał:

- Zastanowiłaś się już nad tym, o czym rozmawialiśmy rano?

- To znaczy?

- Słuchaj, proszę cię o to także dla dobra Jacka. Bardzo cię polubił. Kazał mi obiecać, że cię zaproszę... Przyjdiesz?

- Ależ to szantaż! - Nie wierzyła własnym uszom. Nieoczekiwanie Bruno roześmiał się i potrząsnął głową.

- Ciekawe, dlaczego taka uwaga w twoich ustach bynajmniej mnie nie dziwi? - Wsiadł do samochodu i zatrzasnął drzwi. - Około siódmej? - zawołał, przekrzykując silnik. - I nie jedz kolacji!

Frances poczuła zapach kielbasek z rożna, zanim jeszcze nacisnęła dzwonek do drzwi. Smakowita woń zmieszana ze wspaniałym zapachem kapryfolium i świeżo ściętej trawy unosiła się dokoła. Wciąż z trudem uświadamiała sobie, że uległa Brunowi. To, że posłużył się chłopcem dla przełamania jej oporu, gniewało ją niezmiernie. Musi mu dać do zrozumienia, że jest to jedyny powód, dla którego zgodziła się jeszcze raz przestąpić próg tego domu!

Otworzył jej Jack ubrany w bluzę i dżinsy.

- Cześć, Fran. Będą kielbaski z rożna. Babcia powiedziała, żeby uważać na komary. Tata się goli, bo dopiero przyszedł. Chcesz zobaczyć mój komputer?

Zasypana informacjami, Frances została zaciągnięta na górę i dopuszczona do sanktuarium: pokoju komputerowego. Po wstępnym wtajemniczeniu chłopiec pociągnął ją z powrotem na schody.

- A teraz chodź zobaczyć basen.

- Basen? - Zdziwiona uniosła brwi. Jack skinął głową, podekscytowany.

- Nie jest jeszcze zdatny do użytku, z powodu liści i innych takich, ale tata niedługo go wykończy. - Po drodze Jack machnął ręką w kierunku oszklonych drzwi, oddzielających osobny korytarz. - Tam mieszka babcia, cała przybudówka jest jej. - I pociągnął Frances dalej, przez zieloną oranżerię na werandę z tyłu domu.

W ogrodzie ujrzała ogromną płachtę zielonego brezentu rozpiętą na trawie.

- To nasz basen - ogłosił triumfalnie Jack i ujął brzeżek płachty, by mogła zerknąć do środka.

- Czy jest w nim woda?

- Na razie tylko deszczówka. Ale tata niedługo go napelni.

- Umiesz pływać?

- Oczywiście - zachnął się Jack. - Muszę, ze względu na astmę.

Przybrała stosownie skruszoną minę.

- Fajny.

- Jeszcze jak. O, tam jest babcia.

Wskazał kobietę w kaloszach, ogrodniczkach i podniszczonym słomkowym kapeluszu, która pomachała do nich, stojąc przy ruszcie.

- Tutaj, Frances - zawołała.

- Pójdę po tatę - szepnął konspiracyjnie Jack.

- Nie, nie! - Chwyliła go za ramię. - To znaczy... Przyszłam tylko na chwileczkę, Jack. Nie zwracaj tacie głowy.

Ale on albo nie usłyszał, albo udał, że nie słyszy i pobiegł do domu. Frances zacisnęła zęby. Nic jej nie pozostaje, tylko jakoś wytrzymać. Ciekawe, co Bruno powiedział o niej rodzinie. Ale gdy podeszła do babci Jacka, jej obawy się rozwiały.

- Witaj, Frances. - Uśmiechnęła się. - Jack mówi o tobie bez przerwy. A Bruno ani słówka, co oznacza, że zrobiłaś wrażenie na obu.

Frances roześmiała się. Od razu polubiła Rosę. Porozmawiały chwilę o tym i owym, po czym ukazał się Bruno ubrany w beżowe, luźne spodnie i jaskrawą koszulę.

- Brakuje ci tylko ciemnych okularów, Bruno - roześmiała się Rosa.

Uśmiechnął się tajemniczo i poklepał po kieszeni koszuli, po czym wydobył z niej wspomniany przedmiot i umieścił na nosie. Były to lustrzane okulary, w których odbił się czerwony żar z różną. Wieczne powietrze

wypełnił śmiech. Bruno zdjął Rosie słomkowy kapelusz i niedbale wcisnął go sobie na głowę.

W ogrodzie własnego domu wydał jej się zupełnie inny. Najwyraźniej umie się też bawić własnym kosztem i... czy ma się odważyć do tego przyznać? Pochlebiał jej sposób, w jaki na nią patrzył, nawet przez te koszmarne okulary.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nad ich głowami powoli wędrował księżyc, wysokie sylwetki drzew poczerniały i tylko ogień oświetlał ich twarze, gdy siedzieli i rozmawiali.

W końcu Rosa przeciągnęła się i spojrzała na opatulonego w sweter Jacka, pochłoniętego polowaniem na ćmę.

- Najwyższy czas na mnie i na ciebie - powiedziała znużonym głosem. - Chodź, młodzieńcze, pomóż mi trochę posprzątać. - Wstała i dotknęła ramienia Frances. - Nie wiem, jak ci dziękować, moja droga. Jesteś prawdziwym skarbem.

Frances z trudem powstrzymała się od zerknięcia na Bruna.

- To drobiazg, Roso.

- Przyjdiesz jeszcze do nas?

- Będę w Cerne Carey tylko sześć miesięcy...

- Całe lato? - przerwała Rosa. - To wspaniale. Jack będzie zachwycony. No, dobranoc, moi drodzy. Nie dajcie się pożreć komarom.

Odeszła. Frances przełknęła ślinę. Dlaczego nie powiedziała po prostu: nie? A teraz tkwiła w ślepej uliczce. Ale to nie była wina Rosy. Już ona wie, czyja to wina.

- Dlaczego jej nie powiedziałaś? - Odwróciła głowę w stronę Bruna, wyciągniętego na leżaku.

- Czego? - Zmarszczył czoło.

- Że przyszedłam tu tylko raz, w drodze wyjątku.

- Chciała ci okazać wdzięczność. - Wzruszył ramionami. - Gdybym jej w tej chwili powiedział, że nie zobaczysz się więcej z Jackiem, byłoby to dla niej bardzo bolesne.

- Zaplanowałaś to sobie, prawda?

- Miałem nadzieję, że przyjdiesz. Tak.

- Postawiłaś mnie w nieznośnej sytuacji - zaatakowała go znowu. - Nie chcę być niegrzeczna wobec Rosy ani zranić Jacka.

Nagle stanął jej przed oczami pełen uroku uśmiech chłopca: powściągliwy, ukradkowy, porozumiewawczy uśmieszek, który posyłał jej od czasu do czasu, jakby oni dwoje wiedzieli coś, o czym reszta świata nie ma pojęcia. Na to wspomnienie ścisnęło jej się serce.

- Co z tego wyniknie? - spytała, starając się nie podnosić głosu. - Ja w jego życiu jestem tylko chwilową znajomą. Nie chcę dziś być jego przyjaciółką, żeby jutro go opuścić.

- Całkowicie się z tobą zgadzam, ale po co robić z tego jakiś wielki dramat? W tej chwili on potrzebuje przede wszystkim przyjaźni. Spotyka kogoś, kto może mu ofiarować autentyczne wsparcie w trudnym momencie życia. Nie możesz na to tak spojrzeć?

Wpatrzyła się w żar.

- Mówisz o tym tak, jakby to było bardzo proste, ale nie jest.

- Masz rację. - Skinął głową. - Nie proszę cię, żebyś widywała się z nim stale, ale żebyś wpadła od czasu do czasu, kiedy ci będzie wygodnie. To chyba nie za wiele? Obiecuję, że nie będę przeszkadzał.

Wstała. Żar dogasającego ogniska czerwonym poblaskiem obrysował jej sylwetkę.

- Zastanowię się. Późno już. Muszę iść.

- Jest dopiero wpół do dziesiątej.

- Dla mnie to już późno. Podziękuj w moim imieniu Rosie. Jest wspaniałą gospodynią.

Zdażyła zrobić zaledwie parę kroków, gdy Bruno chwycił ją za rękę.

- Chciałem ci dziś wyjaśnić - powiedział, przyciągając ją do siebie za oba nadgarstki, aż stanęli twarzą w twarz - dlaczego nie skontaktowałem się z tobą w ubiegłym tygodniu. Wziąłem urlop z powodu Jacka i sądziłem, że się domyślisz, co się stało.

Utkwiła w nim pytający wzrok.

- Mam uwierzyć, że nie przyszedłeś do pracy, bo...

- Bo Jack miał w nocy ciężki atak astmy i rano był w fatalnym stanie - powtórzył uparcie.

Tego już nadto. Dlaczego nie potrafi po prostu przyznać, że całując ją popełnił wielki błąd i zasłania się Jackiem, nie chcąc ponosić konsekwencji?

Uwolniła rękę z jego uścisku.

- Dobranoc, doktorze.

Jego oczy lśniły w świetle dogasającego ogniska.

- Co będzie z Jackiem?

- Dobrze wiesz, co myślę o Jacku!

- Mam nadzieję. Mam nadzieję, że ta... różnica zdań... nie wpłynie na twój stosunek do niego.

To nie fair! Po prostu nie fair. On próbuje wzbudzić w niej poczucie winy. Zewsząd osacza. Zabrakło jej słów, by wyrazić swoje uczucia. Szybko odwróciła się, przeszła przez werandę i dom aż do drzwi frontowych. Otworzyła je, cicho zamknęła za sobą i pośpieszyła do samochodu.

Usiadłszy za kierownicą, odetchnęła z ulgą. Wtedy jej oczy napotkały leżący na siedzeniu sweter. Zapomniała go oddać. Ale nic jej nie zmusi, by jeszcze raz przekroczyła próg tego domu. Ani teraz, ani nigdy.

Tydzień ciągnął się niemiłosiernie. Frances odwiedziła Sarah Clark; Freddie dalej płakał i był rozdrażniony, a Sarah uparcie twierdziła, że nic się nie dzieje. Nie pozostawało nic innego, jak tylko zaplanować kolejną wizytę na następny tydzień.

Bruno był u Gabriela Bally'ego i zostawił jej polecenie, by poszła na wizytę kontrolną. Endoskopia potwierdziła zapalenie przełyku i Bruno dał rozmaite zalecenia w celu zmniejszenia dolegliwości. Poza nieustannym bólem w nadbrzuszu chory skarżył się na duszność, kołatanie serca, bolesny kaszel i nudności.

Zastała go w jego eleganckim domu, na krześle z regulowanym oparciem. Jego piękna żona, zaskakująco młoda kobieta o olśniewających, srebrzystoblond włosach, która mogłaby być jego córką, przyglądała im się niespokojnie. Frances przejrzała kartkę, po czym spytała pacjenta o samopoczucie.

- Chyba pani widzi, że jest chory - przerwała żona niecierpliwie. - To już za długo się ciągnie!

Frances przyglądała mu się uważnie. Miał wypieki i się pocił. Trochę schudł, czy też może zaleźniony wyraz twarzy wywoływał takie wrażenie.

- Doktor Quillan prosił, żebym omówiła z państwem pewne metody łagodzenia dolegliwości - zaczęła ostrożnie. - Na przykład spożywanie posiłków o małej objętości, lekkich, kolacja najlepiej na trzy, cztery godziny przed snem...

- To już robimy - wtrąciła z ciężkim westchnieniem młoda żona. - Nie jadamy już poza domem, w każdym razie nie razem. W ogóle nigdzie nie chodzimy i nic nie robimy.

Frances uprzytomniła sobie, że sam pacjent dotychczas się nie odezwał. Zamknął się w sobie, choć może i przed chorobą był introwertykiem.

- Czy przyjmuje pan środki zobojętniające kwas żołądkowy i przeczyszczające? - zwróciła się łagodnie wprost do niego.

- Tak, tak - odparł znużonym głosem. - Po posiłkach i przed położeniem się do łóżka. Robię wszystko zgodnie z zaleceniami...

- Ale to kompletnie nic nie daje - przerwała znów lodowatym tonem pani Bally. - Przez pół nocy włóczy się po domu, bo brzuch nie daje mu spać.

Frances czekała na reakcję chorego, ale on tylko opuścił głowę i przyglądał się swoim dłoniom.

- No a łóżko? - Frances zadrżała do karty, chcąc sprawdzić, czy ktoś już im to zalecał. Gdy podniosła głowę, oboje patrzyli na nią takim wzrokiem, jakby ich spytała, gdzie trzymają srebra rodowe.

- Łóżko powinno mieć podglówek lub jakieś inne udogodnienie, tak żeby głowa spoczywała ponad dwadzieścia centymetrów powyżej poziomu ciała - wyjaśniła szybko. - To zapobiega przechodzeniu kwaśnej treści pokarmowej żołądka do przełyku...

Nagle kobieta zerwała się na równe nogi i z oczami pełnymi łez wybiegła z pokoju, zatraskując za sobą drzwi tak gwałtownie, że wiszący na ścianie obraz omal nie spadł.

Gabriel Bally próbował wstać, ale po chwili opadł z powrotem na krzesło. Oszołomiona Frances wciąż spoglądała na drzwi.

- Czy powiedziałam coś, co uraziło panią Bally?

- To nie pani wina. - Ocieężale pokręcił głową. - Po prostu niechcący potrąciła pani czułą strunę. Moja żona jest bardzo młoda, ma dopiero dwadzieścia pięć lat i trudno jej pogodzić się z moją chorobą. Dwa lata temu, gdy się pobieraliśmy, byłem zupełnie zdrowy i sprawny.

Moja rówieśnica, pomyślała zaskoczona Frances. Nadal jednak nie rozumiała, dlaczego, nawet jeśli pani Bally bardzo przeżywa chorobę męża, zwykła porada na temat przystosowania mebla do spania wywołała tak ostrą reakcję.

Zaraz jednak wyjaśnił jej to Gabriel Bally.

- Tu pani tego nie znajdzie - rzekł, wskazując kartę. - Ale chyba powinienem pani powiedzieć, że... konsultowaliśmy się z doktorem Quillanem w sprawie... intymnej. Chcieliśmy mieć dziecko, ale nie udało się. Naturalnie Petra uważa, że to moja wina, że jestem impotentem. - Jego twarz skurczyła się w bolesnym grymasie. - Niestety, nie mam już takiego temperamentu jak dawniej. Dla Petry, która jest młoda, zdrowa i pełna życia, to bardzo męczące. Ja nie mogę uprawiać sportu, nie mam nawet sił na dłuższy spacer. Zakłócam jej

sen, moje stopy poduszek jej przeszkadzają, a niektóre pozycje, rozumie pani, są po prostu niewykonalne. W tej sytuacji wzmianka o łóżku była, zdaje się, ostatnim gwoździem do trumny.

Frances westchnęła. Co mogła powiedzieć? Dlaczego Bruno nic jej o tym nie wspomniał? Jeśli nie chciał zdradzać sekretów, to mógł ją przynajmniej uprzedzić, że stosunki między małżonkami są bardzo napięte. Ale nie zrobił tego, zapewne z tego samego powodu, dla którego nie zapoznał jej z żadnym ze swoich trudniejszych przypadków, pomyślała ze złością.

Gabriel Bally podniósł głowę.

- Może byśmy na tym skończyli? Pozwoli pani, że ją odprowadzę.

Czuła się okropnie, ale miała świadomość, że w tej chwili nic więcej nie może zrobić. On najwyraźniej chciał porozmawiać z żoną sam. Próba przeprosin z jej strony pogorszyłaby tylko niezręczną sytuację.

Gdy powoli podniósł się z krzesła, zauważyła, że jest wysoki i przed chorobą, bez tych wypieków na twarzy, musiał być całkiem przystojny. Ale teraz wygląda nawet na więcej niż swoje czterdzieści dziewięć lat i porusza się całkiem jak staruszek. Małżeństwo z dużo młodszą kobietą najwyraźniej miało pewne minusy.

Wracała do przychodni zła i zmartwiona. Wyszła na idiotkę, i to w dodatku wścibską idiotkę. Ale po drodze uspokoiła się. W końcu decyzje podejmuje lekarz. Skoro Bruno postanowił nie wtajemniczać jej w sprawy Ballych, ona musi to zaakceptować i koniec. Gdyby nie wspomniała o tym nieszczęsnym łóżku... Och, trudno, stało się. Jedno doświadczenie więcej.

Weszła do przychodni, nie spodziewając się zastać Bruna. O tej porze pewno wyszedł już na wizyty. Pogadała chwilę z Nigelem i Tristanem. Całkiem nieźle orientowała się już w sprawach pacjentów. O dziwo, ci, którzy najbardziej ją niepokoiли, to byli przeważnie pacjenci Bruna. Ale Freddie Clark najwyraźniej rósł i miał się dobrze, a Gabriel Bally zrobił kontrastowe zdjęcia przewodu pokarmowego, prześwietlenie klatki piersiowej i endoskopię i nie

stwierdzono nic poza przepukliną rozworu przełykowego przepony i zapaleniem przełyku...

- O czym myślisz? - doszedł ją głęboki głos, gdy zapatrzyła się w monitor. Odwróciła się gwałtownie.

- Bru... to znaczy doktor Quillan! - Zaczerwieniła się pod wpływem wzroku Gill, ciekawie zerkającej z rejestracji.

- Masz wolną chwilę?

- Jeśli trzeba...

- Tylko chwilę.

- No dobrze, skoro musi być teraz. Skończę tylko z tym i przychodzę.

Przeniosła wzrok z powrotem na monitor, ale gdy zawzięcie waliła w klawisze, przed oczami miała tylko czerwoną mgłę.

- Co się dzieje? - szepnął jej damski głos wprost do ucha. Drgnęła, odwróciła się i zobaczyła Gill.

- Nic! Co ma się dziać?

- Powiedz to swojej babci - roześmiała się Gill i ścisnęła ją za ramię. - Powodzenia. Tylko żebyś nie dostała po nosie... Nasz doktor Quillan to twardy zawodnik. Jest żonaty z medycyną, a w domu ma idealne zaplecze. Wiele pań już próbowało i powinęła im się noga. Na przykład mała Suzie Collins... A nawet Meg Fellows.

Frances zerknęła przez pokój na młodziutką rejestratorkę przy biurku. Była ciemnowłosa, smukła i Frances już dawno zauważyła jej niezwykle, skośne oczy. Nieraz myślała, że są bardzo piękne. Wiedziała, że Suzie jeszcze niedawno miała chłopaka, z którym mieszkała, a teraz jest sama. Ale jakoś nigdy nie pomyślała, by łączyć ją w myślach z Brunem. Ani tym bardziej energicznej Meg Fellows.

- Zdziwiona? - zaśmiała się cicho Gill. - Tak tylko ci mówię. Lepiej wiedzieć, na czym się stoi. Zwłaszcza że....

Urwała.

- Zwłaszcza że... - podchwyciła Frances.

- Wiesz, może nie powinnam ci tego mówić... - Gill sprawiała wrażenie zmieszanej - ale z wyglądu jesteś niesamowicie podobna do Lindsay Quillan. Nie wiedziałaś o tym?

- Nie, prawdę mówiąc, nie wiedziałam. - Frances zaschło w ustach.

- O Boże, że też ja zawsze muszę coś chlapnąć!

- Nic nie szkodzi, Gill. Wolę wiedzieć. Choć to oczywiście bez znaczenia.

Rejestratorka przytaknęła, ale minę miała skruszoną.

Pięć minut później, wszedłszy do gabinetu Bruna, Frances wciąż jeszcze nie doszła do siebie po tym, co usłyszała od Gill. Choć na ogół nie przejmowała się plotkami, tym razem jednak nie mogła oprzeć się ciekawości, jak daleko zaszedł z Suzie albo Meg Fellows. Ale jeszcze bardziej wstrząsnęła ją informacja Gill na temat jej podobieństwa do Lindsay.

- Ubrudziłem się czymś na twarzy? - spytał, gdy tak tkwiła nad jego biurkiem.

- Słucham?

- Przyglądasz mi się tak, jakby coś było ze mną nie w porządku. A nie mam lusterka.

- Och! - Potrząsnęła głową. - Po prostu się zamyśliłam nad czymś, co mi powiedziała Gill.

- Co za rozczarowanie!

- Dlaczego?

- Bo miałem nadzieję, że zastanawiasz się właśnie, co zrobić z weekendem.

- Jeśli poprosiłeś mnie tu po to, żeby wtykać nos w moje prywatne sprawy...

- Nie chciałem wtykać nosa w twoje sprawy - przerwał łagodnie. - Chciałem tylko powiedzieć, że basen będzie już gotowy. Jack mówił, że wyraziłaś chęć obejrzenia go.

- Jestem pewna, że Jack ma wielu przyjaciół, których może zaprosić na otwarcie - wywinęła się szybko.

- Pomyśl o tym.

- Już pomyślałam. Dziękuję, ale nie.

Siedział z rękami splecionymi na biurku i patrzył na nią.

- Czy to już wszystko? - spytała. Czuła się niezręcznie.

- A nie wystarczy?

Spiorunowała go wzrokiem i odwróciła się, myśląc, z jaką rozkoszą zepchnęłaby go z krzesła i z tego piedestału, na którym się ulokował, gdy zawołał za nią:

- Przynieś kostium i koło do nauki pływania.

Tak gorącego maja nie było od lat.

Frances była zdecydowana nie jechać na weekend do Bruna, ale w końcu zadzwoniła do niej Rosa i zaprosiła ją na lunch w sobotę. A potem do telefonu podszedł Jack i też prosił, żeby przyszła. Była na siebie wściekła za kapitulację, ale pocieszała się, że Bruna nie będzie. Wiedziała, że tego dnia ma dyżur.

Wzięła z sobą bukiet pachnących, letnich kwiatów, butelkę wina, sok jabłkowy i tort lodowy dla Jacka. Zatrzymała wzrok na swetrze, który wciąż leżał na krześle w sypialni, i zawahała się. W końcu wrzuciła go do bagażnika, jakby w ten sposób, chowając sweter, definitywnie wykreślała Bruna z rozkładu dnia.

Gdy przyjechała, Jack już pływał w najlepsze. Obok niego raz po raz wyłaniała się z wody druga postać, na widok której oczy zrobiły jej się okrągłe ze zdumienia.

Nie mogła już zawrócić, nie była też zdolna iść dalej. Dopiero Rosa, która wyrosła za jej plecami, wyrwała ją z osłupienia.

- Przebierz się w sypialni Bruna, Frances - powiedziała serdecznie. -

Przygotowałam ci tam ręczniki i krem do opalania.

- Ach... tak, świetnie... Myślałam, że Bruno ma dyżur?

- Ma. Więc się nie zdziw, jeśli nagle odfrunie.

Frances oddaliła się z pewną ulgą. Widok jego niemal nagiego ciała, jeśli nie liczyć obcisłych czarnych kąpielówek, przyprawił ją o gęsią skórę. Bruno był fantastycznie zbudowany - i na pewno o tym wiedział. Ciekawe, czy robił coś, żeby utrzymać taką sylwetkę: szerokie, muskularne ramiona, smukłe biodra, płaski jak deska brzuch i mocne nogi, które z taką siłą przecinały wodę. Greg też był przystojny, miał zresztą wręcz obsesję na punkcie swojej formy, ale Bruno wyglądał jakoś inaczej, bardziej naturalnie.

Przystanąła na schodach, odetchnęła głęboko i powiedziała sobie: Frances Duncan, jesteś głupia. I dlaczego ten osobnik robi na tobie takie wrażenie? Nawet Greg nigdy tak na ciebie nie działał, a przecież z Gregiem byłaś dwa lata.

Odnalazła sypialnię i nieśmiało uchyliła drzwi. Tak, to na pewno pokój Bruna. Poznała ten cytrusowy zapach, który zawsze wokół siebie roztaczał. Przestronny jasny pokój z żaluzjami, bez zasłon. Gruby ciemnobrązowy dywan. Wielkie podwójne łóże, przykryte lekką narzutą o bogatym wzorze. Czy to tutaj spał z Lindsay?

Rozejrzała się po pokoju, szukając fotografii. Miała ochotę sprawdzić, jak jest z tym podobieństwem, ale spotkało ją rozczarowanie. Do rzeczywistości przywołał ją widok ręczników rozłożonych na komodzie z różanego drewna. Ściągnęła szorty i bluzę i sięgnęła po kostium kąpielowy. Dzięki Bogu nie wzięła bikini! Ten też był dość śmiało wycięty, ale przynajmniej jedno-częściowy. Przyjrzała się sobie w lustrze.

- Nie zwracaj na niego uwagi, panno Frances - powiedziała do swego odbicia, zwijając włosy w gruby, złoty węzeł. - Niech wie, że nie jest w stanie wytrącić cię z równowagi.

Gdy pojawiła się na werandzie, ociekający wodą Bruno ruszył w jej kierunku. Jego oczy lustrowały ją od stóp do głów z nieukrywanym podziwem.

- Gotowa? - spytał nieco zmienionym głosem.

Na co? - przemknęło jej przez głowę. Ale nie musiała zastanawiać się długo, ponieważ on porwał ją w ramiona, po czym odrzucając po drodze jej ręcznik, pobiegł z nią, mimo że krzyczała, do basenu i pociągnął ją za sobą.

Woda w pierwszej chwili wydała jej się lodowata. Poczula pod stopami zimne dno. Widziała wszystko jak przez mgłę, lecz czuła, że on nadal oplata ją ramionami. Poruszali się wolno, a jej włosy wiły się w wodzie jak płowe wodorosty.

Nagle poszybowali na powierzchnię i wynurzyli się równocześnie. Raz po raz chwyciła hausty świeżego, czystego powietrza.

- Nie za ciepła woda? - zawołał ze śmiechem, odrzucając w tył głowę.

- Lodowata!... - wydyszała, parskając i odgarniając włosy z oczu.

Żadne nie zauważyło Jacka, który tymczasem zanurkował i wypłynął tuż przed Frances z głośnym „Juhuuu!”

- Och, Jack!

Z trudem dobrnęła do brzegu. Miała świadomość, że obaj panowie ubawili się jej kosztem doskonale. Odetchnęła głęboko i spomiędzy mokrych pasm włosów rzuciła im złowieszczy uśmiech. Zdążyła już przywyknąć do wody.

- Dobra! - zawołała. - A teraz obaj mi za to zapłacicie!

Dała nura na samo dno; usłyszała jeszcze, jak Jack piszczy z radości. Zobaczyła nad sobą cztery nogi, które zawzięcie młóciły wodę, starając się przed nią umknąć. Ale ona była dobrą, szybką pływaczką. Zanim Jack zdążył się wydostać z basenu, chwyciła go w pasie, podrzuciła, przewróciła do góry nogami i zanurzyła. To była tylko łagodna psota; nie chciała, żeby się zanadto rozszalał. Wyrwał się jej ze śmiechem i uciekł w przeciwny koniec basenu.

Nie wzięła jednak pod uwagę Bruna, który przepłynął obok i pociągnął ją w dół. Tym razem wysliznęła mu się z ramion jak ryba i szybko dopłynęła do Jacka.

Na koniec wszyscy spotkali się przy schodkach, zaśmiewając się głośno.

Bruno oparł się o brzeg basenu, oddychając ciężko. Jego wysportowane opalone ciało, teraz rozluźnione, lśniło w słońcu jak powleczone jedwabiem.

- Nieźle pływasz - zauważył, a Jack potakująco pokiwał głową.

- Musiałam dotrzymać kroku dwóm braciom. - Frances wyciągnęła przed siebie długie nogi. - Gdybym nie dawała sobie rady, nie zabieraliby mnie ze sobą.

- A co oni teraz robią? - zainteresował się Jack.

- Obaj służą w wojsku. Jeden w Niemczech, a drugi w Singapurze.

- A twoja mama i tato?

- Tato jest w jednostce inżynieryjnej, a mama... jest po prostu mamą, choć kiedyś była pielęgniarką w Oddziałach Pielęgniarskich Armii Brytyjskiej. Ja też tam się szkoliłam.

- Mieszkałeś w Niemczech czy w Singapurze? Frances potrząsnęła głową.

- Mieszkałam tutaj, w szkole z internatem, a oni różnie, zależy, gdzie ich przeniesiono. Ale latałam do nich na wakacje, razem z innymi dziewczynkami z rodzin wojskowych.

Po jej słowach zaległa na moment cisza pełna wyczuwalnego napięcia. Bruno nie odrywał od niej wzroku, a Jack jakoś dziwnie się zawahał. Jego dziecięce czoło przecięła głęboka zmarszczka. Widziała, że ma ochotę jeszcze o coś zapytać. Ale Bruno klepnął go po ramieniu i zaproponował łagodnie:

- Pobiegnij no do babci i spytaj, czy mamy już przyjść na lunch, dobrze?

Chłopiec powoli wstał i owinąwszy się ręcznikiem, powłókł się do domu.

Bruno oparł ręce na kolanach.

- Nie wiedziałem, że mieszkałeś w internacie - powiedział zamyślony.

- Trudno, żeby ojciec włączył nas ze sobą po wszystkich zakątkach świata. Oni byli to w Niemczech, to w Neapolu, to w Kowloon: prawie wszędzie. Służba. Z tym się trzeba pogodzić.

- Tęskniłeś za nimi?

Nie od razu odpowiedziała. Przypomniała sobie walki, jakie musiała staczać w swojej żeńskiej szkole, żeby zdobyć sobie pozycję, i jak z początku czuła się samotna i opuszczona.

- O tak, tęskniłam - westchnęła zamyślona. - Ale nie było innego wyjścia. W wojsku tak już jest. Ojciec miał swoje ambicje, a mama szła za nim. Przywykliśmy do rozłąki. Ale ja zawsze byłam twarda.

- I ja tak sędzę. - Minę miał kwaśną, lecz jego wzrok był łagodny. Po chwili westchnął i dodał: - Jack także od września idzie do szkoły z internatem. Słyszałaś już o tym?

Frances usiadła. Zdumiona potrząsnęła głową.

- To nie była łatwa decyzja - mówił posepnie. - Ale jedyna rozsądna. Jedyne rozwiązanie dla takiego dziecka jak Jack, nadwrażliwego jedynaka, który nie ma kolegów i woli się bawić z komputerem niż z innymi chłopcami.

Zmusiła się do milczenia.

Bruno powoli podniósł głowę i uważnie spojrzał jej w oczy. Starła się uniknąć jego wzroku; utkwiała spojrzenie w błękitnie wody. Wychowanie Jacka to nie jej sprawa. Ale Bruno dostrzegł wyraz jej twarzy.

- Trudno mi uwierzyć, że w domu jest mu źle.

- Nie, w sensie fizycznym nie. Ale w sensie uczuciowym... Nie zastąpię mu Lindsay.

- Nie przypuszczam, żeby tego od ciebie oczekiwał.

- Dlaczego tak sądzisz?

Zawahała się. Tego właśnie najsurowiej sobie zabroniła: zaangażowania.

- Jack rozumie więcej, niż ci się zdaje. Jak na swój wiek jest bardzo dojrzały.

- Więc?

- Naprawdę chcesz znać moje zdanie? Po chwili namysłu skinął głową.

Odetchnęła głęboko i spojrzała w przepastne, ciemne oczy, teraz tak chłodne. Ostrożnie dobierała słowa, za nic w świecie nie chcąc go urazić.

- Gdyby Jack był moim dzieckiem, nie myślałabym w ogóle o internacie. Szukałabym dobrej szkoły blisko domu. Ale to przecież twój syn.

Bruno chwilę przyglądał się jej w milczeniu. Potem wstał i wyciągnął rękę. Z ociąganiem pozwoliła mu się podnieść. Wstrząsnął nią dreszcz. Jej drobna dłoń nadal spoczywała w jego mocnym uścisku.

- Szkoda - rzekł.

Wciąż jeszcze stała bez ruchu. Bruno wziął suchy ręcznik, delikatnie otulił jej barki i zaczął ją wycierać. Pod wpływem jego dotyku znów zadrżała. Wstrzymała oddech nie wiedząc, co miał na myśli.

- Szkoda - powiedział znowu. - Czy wiesz, że jesteś stworzona do macierzyństwa?

Ta uwaga już całkiem zaparła jej dech.

- Proszę...?

- To był komplement, moja śliczna Frances. Jesteś urodzoną matką... pod względem fizycznym... - pełen podziwu wzrok wędrował po jej figurze - i uczuciowym.

- Co ci nasunęło taką myśl? - spytała, czując suchość w gardle.

Puścił ręcznik i łakomie wpatrzył się w jej usta. Długo milczał.

- Wszystko - szepnął wreszcie zduszonym głosem.

Wyciągnął ręce i już niemal dotykał jej talii, gdy Jack wpadł na werandę, wzywając ich na lunch.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Telefon zadzwonił po lunchu, gdy zamierzali pójść do oranżerii zagrać w ping-ponga. Frances co prawda gorączkowo szukała jakiejś wymówki, żeby już iść do domu. Ilekroć pozwoliła sobie na wspomnienie ostatniej sceny przy basenie, przenikał ją dreszcz. Jak by zareagowała, gdyby nie zjawił się Jack?

- Pewnie wezwanie - powiedziała Rosa, gdy Bruno pośpieszył, by odebrać telefon.

- Jak zwykle. - Jack nachmurzony bawił się piłeczką. Rosa z pogodną miną wzięła siatkę i paletki.

- Ale może Frances chciałaby pograć?

- Dobrze. - Frances skinęła głową, czując, że nie może odmówić. - Ale tylko jedna szybka partia. I tak pewno mnie rozniesiesz.

W tym momencie wpadł Bruno. Nerwowo przeczesywał włosy.

- Niestety muszę was opuścić. Ale mam nadzieję, że nie na długo.

- Przynajmniej udało nam się razem zjeść lunch - rzekła Rosa z uśmiechem. - Chodź, Jack, przygotujemy stół.

- Przepraszam - westchnął ciężko Bruno, bezradnie unosząc ramiona. - Zastanę cię tu jeszcze, kiedy wrócę? - zwrócił się do Frances.

- Wątpię. Czy to coś poważnego?

- Gabriel Bally. Ból w klatce piersiowej.

- Och! Ciekawa jestem...

- Później porozmawiamy. Zaczekaj na mnie, jeśli możesz. Zanim słońce zajdzie, moglibyśmy jeszcze popływać.

Z tymi słowami pobiegł do samochodu i szybko odjechał, zostawiając po sobie tylko obłok kurzu.

Jeżeli mu się wydaje, że ona będzie całe popołudnie czekać na powtórkę tego, co było rano, to grubo się myli. Chociaż przebywanie z Jackiem i Rosą sprawiało jej wielką przyjemność, musi wyjechać przed powrotem Bruna.

Myśl o Gabrielu Ballym nie dawała jej spokoju. Miał ostatnio tyle stresów... Miejmy nadzieję, że to nie serce. Może po jej wizycie między małżonkami sytuacja znów się zaostrzyła? Trudno, co się stało, to się nie odstanie.

Poszła do oranżerii i rozegrała z Jackiem dwie partie. Rzeczywiście przegrała, lecz w chwilę potem dostał duszności.

Rosa zareagowała spokojnie. Jack zażył lekarstwo i zasiadł przed telewizorem. Gdy wydawało się, że program go wciągnął, Frances uznała, że czas na nią.

- Musisz już iść? - W głosie Rosy brzmiało rozczarowanie. W tym momencie zadzwonił telefon.

- To Bruno - szepnęła Rosa do Frances po chwili rozmowy. Musi zostać dłużej.

- Nie powiedział, co z pacjentem? - spytała Frances, ale Rosa pokręciła głową. Obie zamilkły, widząc, że Jack zdrzemnął się na sofie. Frances podeszła, by sprawdzić, jak oddycha. - Chyba w porządku.

Parę minut później zbierała swoje rzeczy w pokoju Bruna, zerkając na obity jedwabiem szezlong. Dziwny mebel w męskiej sypialni. Czy został mu po Lindsay? Potrząsnęła niecierpliwie głową. Myślenie o Lindsay zaczynało stawać się jej obsesją. Zwłaszcza odkąd wiedziała o podobieństwie między nimi.

- Szkoda, że nie zostaniesz na kolacji - powiedziała na dole Rosa, wycierając ręce.

- Mam własny dom - zaśmiała się Frances serdecznie. - Chociaż bardzo małe.

- Mam przynajmniej nadzieję, że nie wychodzisz dlatego, że nie ma Bruna?

- Przeciwnie... - Urwała. Nagle ogarnęło ją pragnienie, żeby zostać i dowiedzieć się czegoś o Lindsay. Jednak rozsądek zwyciężył. - To był

fantastyczny dzień, ale jestem wykończona. Zazwyczaj nie spędzam sobót nawet w połowie tak aktywnie.

- My też. Bruno rzadko bywa w domu.

- Z powodu pracy?

- Sama wiesz, jesteś przecież pielęgniarką. - Przystanął na progu. - Słyszałaś o szkole Jacka?

- O internacie? - Frances przygryzła wargę. - A co na to sam Jack?

- Stara się z tym pogodzić, biedactwo - westchnęła Rosa. - Bruno najlepiej wie, co jest słuszne. Tylko że to taki wrażliwy chłopiec.

Te słowa dźwięczały Frances w uszach przez cały weekend. Niemal fizycznie wyczuwała obawę Rosy: obawę odzwierciedlającą z pewnością nastawienie Jacka. Musi być przecież jakieś inne wyjście niż internat. Ale znając Bruna, podejrzewała, że nikt nie zdoła go skłonić do zmiany postanowienia.

Gdy w poniedziałek weszła do przychodni, znalazła kartkę od Bruna z wiadomością, żeby się z nim skontaktowała.

- Chodzi o Ballych - wyjaśnił bez wstępów, gdy weszła do jego gabinetu.

- Jak wiesz, w sobotę Gabriel miał bóle w klatce piersiowej. Najwyraźniej doszło między nimi do straszliwej awantury, która znacznie pogorszyła jego stan.

- Refluks przełykowy? - spytała, starając się nie zwracać uwagi na fakt, że nawet nie powiedział jej dzień dobry.

- Nie tym razem. Jestem pewien, że to był ból wieńcowy.

- Wieńcowy! Nie powiem, żebym była bardzo zdziwiona.

- Dlaczego? - Wpatrywał się w nią przenikliwie.

- Cóż, jego ogólny stan i te wszystkie zmartwienia...

- Właśnie na ten temat chciałem z tobą porozmawiać. Petra Bally złożyła na moje ręce oficjalną skargę, że wiedziałaś o ich problemach małżeńskich i że

w niedopuszczalny sposób zapoznałaś się z bardzo intymnymi szczegółami ich życia. Albo że ja je ujawniłem.

Frances opadła na krzesło. Nie wierzyła własnym uszom.

- Ależ to śmieszne! To był po prostu zbieg okoliczności...

- A więc coś zostało powiedziane?

- Tylko niechcący...

- Tak czy owak, ona uważa, że zawiodłem ich zaufanie. Frances potrząsnęła głową.

- Ja przecież tylko...

- Przykro mi, Frances, ale nie mam czasu na takie rzeczy. - Wstał. - Sądziłem po prostu, że powinnaś o tym wiedzieć. Skierowałem Gabriela na badania: rentgen klatki piersiowej, ekg, lipidogram, ewentualnie badanie izotopowe. Nie idź do nich w tym tygodniu, bo może cię spotkać coś przykrego.

Frances uświadomiła sobie, że została odprawiona. Petra Bally miała prawo być zła, ale ona, Frances, jest po prostu wściekła. Nawet nie pozwolił jej nic wyjaśnić!

- Poproś Suzie, żeby przysłała następnego pacjenta, dobrze? - Z powrotem utkwiał wzrok w komputerze.

Policzyła do dziesięciu. Niech mu się nie zdaje, że będzie jej rozkazywał. Po raz ostatni rzuciła mu pełne żalu spojrzenie, którego wcale nie zauważył, i opuściła gabinet.

Starła się spojrzeć na to racjonalnie.

Ze strony Petry Bally była to czysta złośliwość, co bolało tym bardziej, że Frances niczym sobie na nią nie zasłużyła. Ale nie bolało nawet w połowie tak, jak zachowanie Bruna. Bruno wierzył tej kobiecie; to było oczywiste.

W poczekalni podeszła do Suzie Collins i oznajmiła jej, że Bruno prosi o następnego pacjenta. Rejestratorka skinęła głową, ale się nie odezwała, po czym bez najmniejszego wahania wstała i pomaszerowała prosto do gabinetu Bruna.

Zanim zamknęła za sobą drzwi, Frances usłyszała jego głos. Wydał jej się bardzo serdeczny.

To już zupełnie wytrąciło ją z równowagi. Dla Suzie ma czas, a jej nie dał nawet kilku sekund na wyjaśnienie, co się stało u Ballych.

- Masz manię prześladowczą - mruknęła do siebie, wychodząc i kierując się do samochodu.

Niestety podczas odwiedzin u małego Freddiego Clarka wrażenie to jeszcze się nasiliło.

Zastała Sarah Clark bladą i przygnębioną. Freddie leżał w łóżeczku i płakał. Frances wzięła go na ręce; był rozpalony i niespokojny. Spytała o karmienie.

- Ostatnio nie miał apetytu - odparła Sarah bezbarwnym głosem.

Frances przyglądała się jej bladej, mizernej twarzy. Nie miała wątpliwości, że coś tu nie jest w porządku.

- A wymioty?

Matka wzruszyła ramionami.

- Jest kapryśny. Zupełnie inny niż mała. Ona zawsze była głodna i chętnie jadła.

- To znaczy, że Freddie nie chce jeść, czy że zwraca po posiłku?

Frances zauważyła zmieszanie młodej kobiety. Nie chciała, żeby to wyglądało na przesłuchanie, ale niemowlę, które trzymała na rękach, nie sprawiało wrażenia krzepkiego malca, choć już powinno nim być.

Nagle, całkiem niespodziewanie, Freddie zwymiotował. Wymiociny, które rozprysnęły się po jej stroju pielęgniarskim, miały wstrętny wygląd i woń.

- Pobrudził panią - zauważyła Sarah sennym, jakby nie całkiem przytomnym głosem.

Frances odłożyła Freddiego do łóżeczka.

- Czy tak jest po każdym posiłku?

Odpowiedź była, tak jak podejrzewała, twierdząca. Frances zaczęła rozbierać malca, który natychmiast znowu się rozplakał, zaciskając maleńkie piastki. Gdy zdjęła pieluszkę i pomacała brzusek, podniósł wrzask. Poczula pod palcami twardą falę skurczu, przebiegającego ukosem z lewej do prawej strony. W tej chwili Freddie znów zwymiotował.

Sarah spoglądała na swoje dziecko nie widzącymi oczami. Frances wyjęła niemowlę z łóżeczka i otarła z wymiocin. Położyła sobie na ramieniu pieluszkę, a na niej malucha. Masowała szczupłe plecki, dopóki chłopczyk się nie uspokoił.

- Myślę, że najlepiej będzie wezwać lekarza - powiedziała w końcu, oddając go matce.

- Ale dlaczego? Przecież to tylko ulewanie.

- Szczerze mówiąc, nie jestem taka pewna. Czy mogę zadzwonić do przychodni?

- Jeśli pani uważa, że to konieczne...

Zadzwoiła, teraz już pewna, że i z matką, i z dzieckiem dzieje się coś niedobrego. Sarah była wobec niego dziwnie obojętna. Może rzeczywiście, jak sugerował Bruno, cierpi na depresję poporodową?

Gdy Bruno przyjechał, Sarah wycofała się do kuchni, by zrobić kawę. Frances poprowadziła go do pokoju dzieciennego i wzięła Freddiego na ręce.

- Wymiotował dwa razy. Zostawiłam ręcznik, którym go wytarłam, żebyś mógł zobaczyć, jak to wygląda. Niepokoi mnie jego brzusek. Mam wrażenie, że wyczułam palcami jakiś opór, jakby twardy pierścień przesuwający się pod skórą.

- No dobrze. - Bruno pokiwał głową. - Teraz, młody człowieku, muszę cię zbadać. Czy możemy to rozpiąć?

Dziesięć minut później trzymał dziecko w ramionach i uważnie wpatrywał się w drobne rysy. Jego czoło przecinała głęboka bruzda.

Sarah zatrzymała się niepewnie w drzwiach pokoju dzieciennego. Na tacy niosła przygotowane napoje.

- Nic mu nie jest, prawda?

- Musimy sprawdzić, Sarah - odparł zatroskany. - Uważam, że Freddiego powinien zbadać specjalista, a to da się zrobić szybko tylko w szpitalu.

- Dziś?

- Tak. I to jak najprędzej. Zaraz zadzwonię i załatwię przyjęcie.

- Ale moja córeczka... Muszę ją odebrać ze szkoły!

- A mąż nie może? Albo jakaś znajoma, która mogłaby się nią zająć przez kilka godzin?

- Ale to ja zawsze ją odbieram!

- Sarah - przerwał Bruno. - To bardzo ważna sprawa. Freddiego musi zbadać pediatra.

- Czy to znaczy, że jest chory?

- Nie mogę, niestety odpowiedzieć, dopóki nie zrobimy badań. Proszę mi wierzyć, że chodzi nam tylko o jego dobro.

Twarz Sarah przybrała popielaty odcień. Powoli skinęła głową.

Bruno zadzwonił do szpitala i uzgodnił przyjęcie, po czym zatelefonował do pana Clarka do pracy.

Ojciec Freddiego zjawiał się po dziesięciu minutach. Nie miał pojęcia, że jego syn jest w tak złym stanie. Natychmiast zgodził się odebrać córkę ze szkoły, a tymczasem chciał zostać z żoną i poczekać na karetkę.

- Co podejrzewasz? - spytała Frances Bruna, gdy znaleźli się na dworze.

- Sądzę, że ma wrodzone zwężenie odźwiernika.

- Tak myślałam. - Skinęła głową. - To się częściej zdarza u chłopców, prawda?

W jego ciemnych oczach odbiło się uznanie.

- Zgadza się. Odźwiernik łączy żołądek z dwunastnicą, a więc przerost jego ścian powoduje utrudnienie przechodzenia pokarmu. Mleko nie przechodzi z żołądka do jelita cienkiego.

- Ale to nie wyjaśnia zachowania matki - westchnęła ciężko Frances.

- Nie, to osobny temat - zgodził się, zerkając na zegarek. - Załatwmy najpierw sprawę dziecka, to będziemy mogli poświęcić więcej uwagi Sarah.

- Ale wtedy może już być za późno - zaprotestowała. - Jak ona sobie poradzi?

- Frances - rzekł, kładąc jej dłoń na ramieniu. - Nie załatwisz wszystkiego naraz. Ona najwyraźniej nie życzy sobie przesłuchań. Jeśli zaczniesz ją teraz wypytywać, pomyśli tylko, że się wtrącasz, i nie zyskasz nic, poza jej niechęcią. Kiedy Freddie lepiej się poczuje, będziemy mieć większe szanse dotarcia do źródła problemu.

- Ale co...?

- Słuchaj, w tej chwili nie potrafię myśleć o niczym poza kanapką z szynką i czymś zimnym do picia. Przekłety budzik dziś nie zadzwonił. Nie miałem czasu nawet wypić kawy.

Nie wierzyła własnym uszom. Znowu od niej ucieka! Czy on nie rozumie, że Sarah Clark potrzebuje pomocy? I to nie za pół roku, tylko teraz!

- Panie doktorze!

Zdażył już wsiąść do samochodu i właśnie ruszał, ale się zatrzymał.

- O co chodzi, Frances?

- Znowu się wykręcasz!

- Co to znaczy?

- Najwyraźniej kiedy ty chcesz poruszyć jakąś sporną kwestię, to ja muszę słuchać, ale w sytuacji odwrotnej nigdy nie ma czasu na rozmowę!

- Jaką znowu sporną kwestię? - spytał z ironicznym uśmiechem.

- Na przykład Petty Bally - odparowała szybko.

- Dobrze, jedź za mną do Ferrymana. Zjemy coś i pogadamy o tych twoich spornych kwestiach.

- Nie jestem głodna!

- Trudno, ja jestem. Bądź tam za pięć minut.

Silnik ożył z pełną siłą. Odsunęła się i patrzyła, jak Bruno odjeżdża. Cóż, zdaje się, że ma do wyboru pub albo nic. Niech już będzie pub.

- Weź coś, bo inaczej ja wybiorę za ciebie! - powiedział, gdy Frances zignorowała podsuniętą jej kartę.

- Poproszę kanapkę z tuńczykiem - odparła słabym głosem. Bruno zamówił więc kanapkę z tuńczykiem, dwie kanapki z dużą porcją szynki i piklami i dwie wody sodowe.

- No dobrze, mów, co ci leży na sercu. Gabriel Bally?

- Chodzi o to, że nie dałeś mi szansy, żeby się wytłumaczyć - zaczęła. Siedziała sztywno, zaciśnięte dłonie trzymała pod stolikiem. W swoim stroju pielęgniarki czuła się niezręcznie, ale nikt nie zwracał na nią uwagi.

- Przecież o nic cię nie oskarżałem.

- Jak to! Powiedziałeś, że Petra Bally złożyła skargę i...

- I musiałem ją przyjąć. Inaczej znalazłaby inną drogę.

- Ale w jej oskarżeniu nie było słowa prawdy! Wzruszył ramionami.

- W takim razie nie ma się czym przejmować, nie?

- Ale powiedziałeś...

- Słuchaj, powiedziałem ci tylko, co się stało. Wolałabyś nie wiedzieć i ściągnąć na siebie burzę?

Zamilkła. Miał trochę racji. Niechętnie pokręciła głową.

- Dobra. Co dalej? - ponaglił ją.

- Jeśli tak ci szkoda cennego czasu...

Oparł się na łokciach i nachylił ku niej.

- Co ty ciągle z tym moim czasem?

- Po prostu... gdybyś poświęcił mi go choć troszeczkę w tym pierwszym tygodniu, miałabym więcej informacji o pacjentach. Weźmy na przykład Sarah. Od początku była wobec mnie lodowata. Byłoby mi o wiele łatwiej, gdyby...

- Gdybym się bardziej przyłożył?

- Właśnie!

Zjadł resztki kanapki i popił wodą. Potem otarł usta serwetką i usiadł wygodniej.

- Teraz lepiej. O czym to mówiliśmy?

- O Sarah Clark.

- Prawda, to twój sukces. Kiedy zaczęłaś podejrzewać, że coś jest nie tak? Na chwilę zaniemówiła. Wytrącił jej broń z ręki.

- Cóż... - zająknęła się. - Miałam taki przypadek podczas szkolenia. Ta fala skurczu na brzuszku dziecka przywołała skojarzenie. Przedtem myślałam, że to problem psychologiczny między Sarah i Freddiem.

- To też może być. Ale nie mogę nic dla Sarah zrobić, dopóki nie wróci z dzieckiem do domu. Wtedy z nią pogadam. Nie chcę niepotrzebnie dawać jej leków, może wystarczy psychoterapia. Sama jednak dobrze wiesz, że tego się nie da zrobić w pięć minut.

Frances uprzytomniła sobie, że znowu miał rację. Poczula się trochę winna, że niepotrzebnie wpadła w panikę. Jej twarz musiała to zdradzić, bo uniósł brwi i spytał:

- Chyba nie myślałaś, że zlekceważyłbym depresję?

- Nie wiedziałam, jaki masz stosunek do takich rzeczy...

- Takie rzeczy - przerwał łagodnie - są równie ważne jak złamana ręka.

Bardzo współczuję ich ofiarom, niezależnie od przyczyny. Ale trudno, żebym nie proszony pchał się do Clarków z drastycznymi diagnozami. Poza tym miałem pełne zaufanie do ciebie.

- Do mnie? - spytała zdumiona.

- Wierzyłem w twój zdrowy rozsądek, w twoją intuicję. A gdybyś zajrzała dziś do książki wizyt, dowiedziałabyś się, że zamierzałem tam iść jutro razem z tobą.

Policzki jej się zaróżowiły.

- Nie... nie popatrzyłam...

- Cóż... - Wzruszył ramionami. - Nikt nie jest doskonały, prawda?

Tym razem zaczerwieniła się po uszy. Powinna była sprawdzić. Pierwsza zasada: rano zawsze zajrzyj do książki i sprawdź plan wizyt.

- Tak czy owak - powiedział Bruno, uważnie ją obserwując - teraz pozostaje nam poczekać, co wykażą badania u Freddiego, a potem, kiedy Sarah wróci do domu i będzie miała jeden kłopot z głowy, zająć się resztą.

- To chyba rzeczywiście zwężenie odźwiernika.

- Dałbym sobie rękę uciąć.

- Biedactwo - westchnęła Frances. Brązowe oczy Bruna pociemniały.

- Przejęłaś się tym, prawda? Odpowiedziała mu ostrym spojrzeniem.

- Większość kobiet ma instynkt macierzyński...

- Chciałabyś mieć dziecko, Frances?

- Przecież nawet nie jestem mężatką! - wybuchnęła, unikając jego wzroku.

Roześmiał się.

- Jesteś zwolenniczką małżeństwa?

- Oczywiście! - odparła zdumiona. - Dzieci potrzebują matki i ojca, i bezpieczeństwa, a to wszystko według mnie może im zapewnić tylko małżeństwo...

- Naprawdę? Ciekawe... choć to ostatnio niezbyt popularna opinia.

- Nigdy nie miałam zwyczaju akceptować ani godzić się z różnymi rzeczami dlatego, że są popularne. Moi rodzice, Bogu dzięki, kochali się całe życie i nadal są razem, a obaj moi bracia są żonaci i dobrze im się układa.

Uważam jednak, że to zasadniczo zależy od kobiety. Jeśli kobieta godzi się na

coś, co nie do końca jej odpowiada, to postępuje nieuczciwie i... - Nagle zamilkła, uprzytomniwszy sobie, że wystarczyło pięć minut, by otworzyła przed nim serce.

- Nie przerywaj - rzekł łagodnie.

- Mieliśmy rozmawiać o pracy! - zaprotestowała gwałtownie, zła na siebie.

- Ale to o wiele ciekawsze. - Westchnął, spoglądając na nią. - Och, Frances, tak mnie zawsze kusi, żeby się z tobą podroczyć.

Zła i zmieszana otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale on uprzedził jej ripostę, wstając i wyciągając do niej rękę.

- Chodź. Starczy na dzisiaj. - Zaśmiał się, a widząc jej niechętną minę, dorzucił ironicznie: - W końcu nasz czas jest naprawdę cenny i nie powinniśmy go tracić na przyjemności.

Nadszedł słoneczny czerwiec.

Tego popołudnia Frances była już u Cynthii Vail i miała jeszcze odwiedzić Richarda Grove'a. Była już w połowie drogi, gdy nagle postanowiła wpaść na chwilę do domu.

Trawnik w jej ogródku upstrzony był różową i białą koniczyną. Kot polował na osy, brzęczące nad żółtymi sercami stokrotek. Wpatrzona w widok za oknem, Frances oderwała się na chwilę od rzeczywistości i nagle drgnęła na dźwięk telefonu.

- Fran? Czy możesz do nas przyjść w ten weekend? - To Jack bez większych ceremonii przystąpił do rzeczy.

- Babcia może mieć co do ciebie inne plany - odparła wymijająco.

- Nie, nie ma. Pytałem ją.

- Jack... ja...

- Ona lubi, jak przychodzisz. Powiedziała, żebyś przyszła n... na lunch w s... sobotę.

Znowu się jąka. Jest niespokojny, prawdopodobnie obawia się, że odmówi. Zgodziła się więc głównie po to, by go uspokoić. Co za brak charakteru, zganiła się w duchu. Czy Bruno też będzie? Czy uda jej się uniknąć spotkania? Może gdyby przyszła z rana, mogłaby wymknąć się przed lunchem. Przeprosiłaby i powiedziała, że była już umówiona. A zresztą Rosa utrzymuje, że Bruno rzadko spędza soboty w domu...

Nie wiedzieć czemu przyszła jej na myśl Suzie Collins. Może dlatego, że widziała na grafiku, iż w sobotę to ona ma dyżur. Co za głupota! Posunęła się nawet do tego, że ukradkiem obserwowała Suzie i Bruna, gdy z sobą rozmawiali. A Meg Fellows? - zastanawiała się, szykując do wyjścia. To już bardziej ktoś z jego kręgu. No i rozwiedziona...

Gdy dojechała do okazałego domu Grove'ów, zamarła na widok znajomego range rovera. Za późno. Nie mogła się teraz wycofać. Na pewno już ją zauważyli. Dla dodania sobie odwagi głęboko zaczerpnęła powietrza.

Otworzyła jej Gwen Grove i zaprosiła do środka. Trudno. Czyż sama nie narzekała w kółko, że w pracy brakuje jej kontaktów z Brunem? Może postanowił zdobyć się na wysiłek i więcej jej pomagać przy pacjentach? Jeśli tak, to znaczy, że coś do niego dotarło... Nareszcie.

Wkrótce jednak musiała porzucić tę nadzieję, gdyż ujrzała Richarda Grove'a i Bruna Quillana wyciągniętych wygodnie na leżakach, ze szklankami w dłoniach, zaśmiewających się przypuszczalnie z jakiegoś dowcipu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Na jej widok Bruno wstał.

- Nie wiedziałem, że masz tu dziś wizytę.

- Cóż... Chciałam sprawdzić, jak wygląda sytuacja, bo kiedy tu byłam ostatnio, pan Grove niebezpiecznie forsował palec.

- Twoja pielęgniarka mi nie ufa, Bruno - roześmiał się Richard Grove.

- Ja też nie! - Bruno podsunął jej krzesło. Wymienili spojrzenia.

- No więc macie. - Budowlaniec położył dłoń na stole. - Znęcajcie się nade mną.

Frances zdjęła stary opatrunek, a Bruno zbadał palec.

- Czy możesz nim ruszać?

- Mogłoby być lepiej. Zawsze mówię, że najlepsze lekarstwo to świeże powietrze. W tych przeklętych bandażach to się nigdy nie zagoi. - Powoli prostował palec. Okolicę blizny obejmował podejrzany naciek zapalny.

- Dobrze. Teraz siostra Duncan to oczyści i zawinie. Obawiam się, że będziesz musiał jeszcze trochę pochodzić z opatrunkiem. I dam ci antybiotyki, tylko masz go łykać, a nie trzymać w szufladzie!

Grove jęknął. Jego żona zachichotała.

- Wreszcie przestaniesz się przechwalać, że od lat nie spędziłeś ani jednego dnia bez pracy.

- Teraz to nadrabiam - mruknął Richard.

Frances zostawiła ich i poszła do kuchni wyrzucić zużyty bandaże. Myślała właśnie ręce, gdy Gwen weszła za nią.

- Ci mężczyźni! - westchnęła ostentacyjnie. - Szczerze mówiąc, będę szczęśliwa, kiedy wreszcie wróci do pracy. Najgorszy pacjent, jakiego można sobie wyobrazić. - Nalewając lemoniady do dzbanka, zmierzyła Frances przeciągłym spojrzeniem. - Podobno Jack od września idzie do Harrington Hall?

Frances zerknęła na nią, wycierając dłonie.

- Tak... Zdaje mi się, że tak.

- Słyszałam, że bardzo panią polubił.

Frances zeszywniała. Jak szybko w takich małych miścinach roznoszą się wiadomości! Zastanawiała się tylko, czy tym razem nie przyczynił się do tego sam Bruno. Najwyraźniej był zaprzyjaźniony z Grove'ami.

- Nasz Carl jest o rok starszy od Jacka - ciągnęła Gwen. - Dawniej chodzili razem do tutejszej szkoły, tylko Carl o klasę wyżej. Richard i Bruno ciągle na siebie wpadali na meczach i tak się poznali. Okropna historia z tą jego żoną. Myśmy jej nigdy nie widzieli. On też o niej nigdy nie mówi...

Frances stłumiła westchnienie. Miała wyrzuty sumienia, że podejrzewała Bruna o gadulstwo. Napotkawszy ciekawskie oczka Gwen, poprzysięgła sobie w duchu, że ta kobieta nic od niej nie wyciągnie. Nadal starannie wycierała ręce.

- Przykra sprawa z tą astmą Jacka - dorzuciła Gwen. - Zawsze siedzi na ławce rezerwowych. Ale to nic, w Harrington Hall zmężnieje. Carl już gra w drużynie rugby.

Frances wzdrygnęła się na samą myśl o tym, jak Jack będzie „mężniał” w Harrington Hall. Dlaczego wszystkim się zdaje, że przepocona koszulka futbolowa i zimny prysznic to wszystko, czego trzeba chłopcu, by stał się mężczyzną?

- Harrington Hall to coś w sam raz dla Jacka. - Tę samą śpiewkę usłyszała od wchodzącego z Brunem do kuchni Richarda Grove'a. - Na oporny charakter nie ma jak prywatna szkoła!

Frances rzuciła ukradkowe spojrzenie na Bruna. Była pewna, że celowo unika jej wzroku. Gdy dopito drinki i wymieniono słowa pożegnania, oboje z ulgą poszli do swoich samochodów.

Ciszę przerwał Bruno.

- Dobrze się składa, że Jack ma już tam kolegę. To znaczy w Harrington Hall.

- Kolegę? - Zabrzmiało to ostrzej, niż chciała. - Nie wiedziałam, że Jack i Carl się przyjaźnili.

- No, może „przyjaźnili” to za dużo powiedziane. - Położył jej rękę na ramieniu, a ona przyjrzała mu się uważnie. - Gwen i Richard to poczciwe dusze. Mają tylko lekkiego fioła na punkcie Carla.

- Ten ich Carl jest najwyraźniej stworzony do szarpaniny na boisku.

- A Jack nie?

- Powiedzmy, że według mnie Jack ma inne zalety.

- Racja - przytaknął. - I decyzja o wysłaniu go do Harrington Hall nie przyszła mi łatwo. To przecież moje jedyne dziecko i tylko Bóg wie, jak bardzo go kocham. Ale właśnie dlatego chcę mu dać możliwie najlepsze wykształcenie.

- Którego twoim zdaniem nie zapewni mu szkoła państwowa?

- Nie twierdzę, że to zła szkoła, ale mieszkając w internacie, będzie miał więcej czasu na naukę i...

- O właśnie. Przecież tu chodzi o czas, prawda? Gdyby Lindsay żyła, też wysłałbyś go do internatu?

- To nie fair. - Zesztywniał.

- Doprawdy? - Westchnęła. - Ach, to nie ma sensu. Nie powinieneś mnie wciągać w rozmowy o Jacku. Ty już przecież zdecydowałeś o jego losie.

- Chcę tylko jego dobra, czy ty tego nie rozumiesz?

Słyszając te słowa, aż się wzdrygnęła.

Dość się ich w życiu nasłuchiwała. Dorośli zawsze okraszają nimi swoje trudne do zaakceptowania decyzje. Ona też nie mogła wygrać z armią i warunkami wojskowego życia; na szczęście poradziła sobie, ale to dzięki temu, że umiała się przystosować i walczyć o swoje. Obawiała się, że z Jackiem będzie inaczej. Jest on nie tylko dzieckiem wyjątkowo wrażliwym, ale w dodatku przeżył już utratę jednego z rodziców. Teraz w pewnym sensie straci drugie. Bruna też jej było żal. Życie lekarza nie jest łatwe. Ale czy to wystarczający

powód, by podejmować tak radykalną decyzję, która zaważy na całej przyszłości Jacka?

Pożegnała się z Brunem i odjechała, przysięgając sobie, że nigdy więcej nie da wciągnąć w rozmowę o Jacku - ani o Lindsay.

W sobotę jadła lunch z Rosą i Jackiem. Pogoda była piękna. Rosa nakryła do stołu w oranżerii, wśród kwitnących kwiatów.

- Słyszałaś - Jack zerknął na Frances - że ludzie teraz najczęściej chorują w weekendy i w środku nocy?

- A ty skąd to wiesz? - zapytała.

Wzruszył ramionami, pałaszując lunch z zapalem, który przywiódł jej na myśl apetyt kogoś innego.

- Bo kiedyś urządzaliśmy latem pikniki i różne inne rzeczy, ale teraz już nie. I częściej słyszę w nocy, jak tata wychodzi.

Ten popis logiki spowodował, że Frances ścisnęło się serce. Rzuciła okiem na Rosę, z której twarzy znikł uśmiech.

- Mówiłeś już Frances o wyjeździe do Christiny? - spytała pośpiesznie.

Jack pokręcił głową.

- Co roku jeżdżę w lecie do ciotki Christiny do Brighton. Mam tylko jedną ciotkę i jednego wujka. Ale wujek Graham mieszka w Nowej Zelandii, więc dawno się nie widzieliśmy. Mam tam dwoje kuzynów, Karen i Jamesa. Może w przyszłym roku do nas przyjadą. A jak nie, to my do nich pojedziemy, prawda, babciu?

- Może. To zależy, czy tata będzie mógł. Skończywszy posiłek, Jack odsunął krzesło.

- Czy mogę teraz zabrać Fran do mojego pokoju? Słyszac to, Rosa znieruchomiła.

- Przecież nawet nie zaczęła zupy!

- Zaraz przyjdę - uśmiechnęła się Frances. - Może ty pójdziesz pierwszy i wszystko przygotujesz?

Nie trzeba było mu tego dwa razy powtarzać. Gdy zniknął, Rosa z irytacją pokręciła głową.

- Jedyne, co go obchodzi, to ta piekielna maszyna.

- To ma swoje dobre strony, komputery są już we wszystkich szkołach. Za kilka lat podręczniki przejdą do historii.

- To samo mówi Christina. Jest informatykiem w dużym przedsiębiorstwie przemysłowym. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, czym się zajmuje.

- To pewnie Jack jest u niej w swoim żywiole.

- Tak, Christina stara się nim zajmować najlepiej, jak potrafi. Ona i Nigel, jej mąż, są już dobrze po trzydziestce. Zdecydowali, że nie będą mieli dzieci. Lindsay też nie miała instynktu macierzyńskiego. Myślę, że urodziła dziecko, żeby sprawić przyjemność Brunowi. Bo dla niej to nie było... coś naturalnego.

Frances, zdumiona, wpatrywała się w Rosę.

- Lindsay i Christina były siostrami... twoimi córkami?

- Nie wiedziałaś o tym?

Frances z wolna pokręciła głową. Bruno i Rosa byli sobie tak bliscy, że nie przyszło jej do głowy, iż mogą nie być spokrewnieni.

- Myślałaś, że Bruno jest moim synem? Frances zarumieniła się. Zrobiło jej się głupio.

- Ja... ja... chyba tak. Właściwie nie zastanawiałam się nad tym.

- Rodzice Bruna nie żyją od czterech lat, a Graham, jego brat, wyjechał do Nowej Zelandii. Ma tam farmę. Szkoda. Karen i James są prawie w wieku Jacka, a więcej kuzynów nie ma. - Uśmiechnęła się ze współczuciem. - Nie mieliście z Brunem za dużo czasu, żeby się czegoś o sobie dowiedzieć.

Frances jeszcze nie ochłonęła z wrażenia. Jak mogła się tak pomylić?

- Nie... - Pod wpływem zaciekawionego spojrzenia starszej pani znów się zaczerwieniła. - Lekarz i pielęgniarka nie muszą wiele o sobie wiedzieć, a zresztą ja tu przyjechałam na krótko... Bardzo krótko.

- Ale zdawało mi się, że jakoś przyłgnęliście do siebie. Musisz mi wybaczyć, moja miła. Zdaje się, że ja też trochę się pomyliłam. Bruna czasem trudno zrozumieć... W ogóle czasem jest trudny... Zmienił się od śmierci Lindsay. To chyba taki pancerz ochronny.

Grając z Jackiem w gry komputerowe, Frances ciągle wracała myślą do tej wypowiedzi. Co Rosa miała na myśli mówiąc, że się pomyliła?

- Przyjedziesz za tydzień? - spytał uroczyście Jack, gdy żegnali się przy drzwiach.

- Frances ma też inne zajęcia, kochanie - wtrąciła Rosa. - Już i tak zajęliśmy jej dużo czasu.

Na widok rozczarowanej miny chłopca i jego przygarbionych barków Frances się zawahała.

- A... co byście powiedzieli na piknik, skoro już dawno go nie urządzaliście? Tylko nas troje?

- Cudownie! - Niebieskie oczy Jacka zapłonęły i rzucił się Frances na szyję.

Nękana wyrzutami sumienia, Frances odwzajemniła uścisk. To szczupłe ciało w jej ramionach tak wyraźnie pragnęło czułości.

- Na pewno możesz? - Rosa spojrzała na nią pytająco.

- Zadzwonię, żeby potwierdzić.

- Zapytam tatę, czy mógłby z nami jechać - wtrącił Jack. Rosa przygryzła wargę.

- Lepiej nie zawracać mu głowy, kochanie - zmitygowała go łagodnie. - Jest teraz strasznie zajęty. Może innym razem.

Frances spojrzała na nią z wdzięcznością.

- No i nie wiadomo, jaka będzie pogoda - powiedziała. - Może się zdarzyć, że w ostatniej chwili będziemy musieli odwołać piknik. Nie obiecuj sobie za wiele!

W piątek po południu Gill z pytająco uniesionymi brwiami podała Frances słuchawkę.

- Do ciebie albo doktora Quillana.

- Kto to? - Frances zakryła membranę dłonią, żeby jej nie było słychać.

- Madjur Rasti. Głos ma straszny.

- Madjur? - Frances ścisnęła mocniej słuchawkę. - Mówi Frances Duncan.

Z drugiej strony słyszała tylko niewyraźne mamrotanie.

- Jadę prosto do pani, Madjur. Jeśli pani może, proszę zostawić otwarte drzwi.

Frances spakowała torbę. Serce biło jej szybko. Odwróciła głowę w stronę Gill.

- Czy możesz zawiadomić doktora Quillana? Powiedz mu, że ja już do niej pojechałam.

Gill skinęła głową i podniosła słuchawkę.

Z powodu dużego ruchu na drodze Frances dotarła do domu Madjur dopiero po kwadransie. Drzwi frontowe były zamknięte, a w oknie nikt się nie pojawił. Na szczęście dostała się do domu przez tylne wejście, od ogrodu.

- Madjur?

Nikt nie odpowiedział. Zawołała jeszcze raz.

- Tutaj - odezwał się zapłakany głos.

Frances wbiegła do przedpokoju. Znalazła Madjur na podłodze przy oknie. Jej czarne jak węgiel oczy nabiegły krwią, a policzki opuchły od płaczu.

- Co się stało? Upadła pani?

Po twarzy chorej popłynęły strużki łez.

- Nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Nie mogę się podnieść.

- Nic pani sobie nie zrobiła? - Frances uklękła obok, tak że Madjur mogła się o nią oprzeć.

- Nie... Chyba nie.

- Proszę się nie martwić. Doktor Quillan zaraz tu będzie.

Z pomocą Frances Madjur, krzywiąc się z bólu, pomalutku dotarła do kanapy. Frances westchnęła na widok jej nabrzmiąłych stawów kolanowych.

- Tak dalej nie można, Madjur. Coś z tym trzeba zrobić.

Odpowiedzią był nowy potok łez.

Tymczasem przez tylne drzwi do domu wszedł Bruno.

Jednym spojrzeniem ocenił sytuację, podszedł i przysunął sobie krzesło.

- Nie ma złamania? - spytał spokojnie.

- Nie, ale bardzo duży obrzęk - odparła Frances. Starannie zbadał chorą.

- Madjur, teraz już naprawdę nie ma innego wyjścia. Ściągnę trochę tego płynu z prawego kolana, ale potem załatwiam pani miejsce w szpitalu.

Frances z lękiem czekała kolejnej odmowy. Ale Madjur najwyraźniej doszła już do kresu wytrzymałości. Odwróciła tylko twarz i ukryła ją w poduszce.

Gdy Bruno odbarczył chory staw, na ile zdołał, Frances zabandażowała kolano i ułożyła nogi Madjur w wygodnej pozycji.

- Zrobię pani herbatę - powiedziała ciepło. Bruno tymczasem przeszedł do holu, aby zadzwonić. Dłuższą chwilę nasłuchiwała jego głębokiego, stanowczego głosu. Wreszcie wrócił do pokoju.

- Ma pani miejsce w szpitalu w Stillerton. Proszę nie robić takiej zmartwionej miny. Ben Carter jest moim znajomym i bardzo dobrym lekarzem. Zajmie się wszystkim jak należy.

Pacjentka nie odpowiedziała. Wyglądała żałośnie. Frances wzięła ją za rękę, usiadła przy niej i zachęcała, żeby wypić herbatę. Bruno uśmiechnął się do nich, pakując torbę.

- Zostanę tu i poczekam na karetkę - zwróciła się Frances do chorej. - Odprowadzę tylko doktora Quillana do drzwi. Proszę tymczasem skończyć herbatę.

Wyszli do holu. Gdy Madjur nie mogła już ich słyszeć, Bruno powiedział ściszym głosem:

- Za nic w świecie nie dopuść, żeby Madjur zmieniła zdanie. Dasz sobie radę?

- Tak, tak, oczywiście. Myślę, że nie będzie z tym problemu. -

Uśmiechnęła się na widok jego zatroskanej twarzy. - Przypilnuję jej.

- Grzeczna dziewczynka. - Odwrócił się i już, już miał odejść, gdy nagle coś sobie przypomniał. - Aha, dziś rano miałem wiadomość ze szpitala w Dorchester. Freddie Clark jest już po operacji odźwiernika. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, w przyszłym tygodniu będzie w domu. Może wtedy postaramy się coś zrobić w sprawie Sarah. Byłoby najlepiej, gdybyś ty najpierw poszła z wizytą kontrolną, a ja później, żeby nie poczuła się jak pod obstrzałem.

- Dobrze - zgodziła się od razu Frances. - Daj mi tylko znać, kiedy Freddie wróci do domu.

Skinął głową i uśmiechnął się.

- Mam nadzieję, że jutro będzie ładna pogoda!

Gdy szedł do samochodu, nie mogła oderwać oczu od jego szerokich, kołyszących się ramion. Z każdego jego ruchu przebijała siła.

Usiadł za kierownicą i spojrzał w jej stronę. Szybko zamknęła drzwi i zdumiona potrząsnęła głową. Co się dzieje? Naprawdę byli dla siebie uprzejmi i we wszystkim się zgadzali.

Zamyślona wróciła do Madjur.

- No, jak tam? - spytała łagodnie, przysiadając obok niej. Ale Madjur była zbyt przybita, by odpowiedzieć. Frances uścisnęła jej rękę.

- Może pójdę na górę i spakuję pani torbę? Mogę wybrać rzeczy według własnego uznania?

Madjur zrobiła bohaterski wysiłek, żeby się uśmiechnąć. Frances delikatnie osuszyła jej gorące policzki chusteczką.

Potem odszukała sypialnię Madjur, w szafie znalazła pojemną torbę i spakowała do niej koszulę nocną, szlafrok i kapcie. Na nocnej szafce stała fotografia w białej ramce. Madjur... Chociaż nie - drobniejsze rysy i żywy wyraz

ciemnych oczu odpowiedziały Frances, że to jej córka. Wetknęła zdjęcie do torby i wzięła jeszcze potrzebne rzeczy z łazienki.

Wróciwszy na dół, usiadła obok chorej i starała się uspokoić ją trochę, opowiadając co nieco o szpitalu. Po chwili wahania powiedziała jej też o fotografii. W oczach Madjur znów pojawiły się łzy.

- Dziękuję pani. To moja córka, Serena. Ma już prawie szesnaście lat. Mieszka z dziadkami w Delhi.

- Jest urocza. I bardzo do pani podobna.

- Tęsknię za nią.

- Czy ona wie o pani chorobie?

- Nie... Trudno mi pisać tą ręką, a zresztą... nie chcę jej martwić.

- Ale jeśli pani do niej nie pisze, to i tak się martwi. - Nagle zaświtała jej pewna myśl. - Jeśli pani chce, to ja do niej napiszę. Wyjaśnię, że jestem pielęgniarką, że pani nie może napisać sama, ale tą drogą chce jej pani przekazać wiadomości i pozdrowienia.

Madjur w pierwszej chwili nie wyglądała na przekonaną, ale gdy usłyszały podjeżdżającą karetkę, poddała się.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Poda mi pani adres?

- Jest w notesie przy telefonie, pod „S”.

- Dobrze. Czy jeszcze coś mam zrobić?

- Proszę tylko sprawdzić, czy wszystko jest wyłączone i pozamykać drzwi. I dziękuję pani, Frances. - Madjur spojrzała na nią spod mokrych rzęs. - Nie wiem, co bym dziś bez pani zrobiła.

Zanim weszli sanitariusze, Frances pochyliła się i pocałowała ją w policzek. Dlaczego los tak często prześladowuje najlepszych ludzi pod słońcem? Madjur zasługuje przecież na odrobinę szczęścia, a jest tak strasznie samotna.

Sobota była słoneczna i bezwietrzna; był to prawdziwie letni dzień. Frances spakowała wędliny, sałatkę, owoce i zimne napoje, a przejeżdżając

przez miasto, kupiła tort. Jack czekał już przy podjeździe. Nie potrafił ukryć podniecenia. Zatrzymał ją i wśliznął się na siedzenie obok niej. Zajechała przed dom przy akompaniamencie jego wesołego paplania.

Była tak pochłonięta tym, co mówił, że ledwo zauważyła wychodzącą z domu postać. Oczy jej powiedziały, że to Bruno, ale umysł odmówił przyjęcia tego faktu do wiadomości - jak również tego, że miał na sobie plecak oraz że obok torby plażowej postawił na ziemi kosz piknikowy. Podniósł głowę i poma-chał do nich.

- To twój ojciec jest w domu? - spytała, gdy już odzyskała głos.

Jack, wysiadając z samochodu, kiwnął głową.

- Babcia się przeziębiła, więc tato jedzie zamiast niej.

Ta nowina całkiem ją zaskoczyła. Tymczasem Jack, nie czekając na jej reakcję, podbiegł do ojca.

Koszmar na jawie! Ale dlaczego Rosa do niej nie zadzwoniła, niczego nie odwołała wyjazdu? A zdawało się, że rozumie sytuację. Zagadka wyjaśniła się, gdy wysiadła z samochodu i podeszła do Bruna.

- Cześć! Będziesz musiała zadowolić się dzisiaj mną. Rosa się wczoraj przeziębiła. Poszła wcześniej do łóżka w nadziei, że do rana wyzdrowieje, ale niestety, dziś czuje się jeszcze gorzej.

Frances gorączkowo zastanawiała się nad jakąś wymówką.

- Chyba ktoś powinien z nią zostać?

- Proponowałem. Nie chce o tym słyszeć. Jak nie wierzysz, to spróbuj sama. Co prawda nie wiem, czy nie zasnęła. Po dwóch tabletkach paracetamolu i ziółkach była bardzo śpiąca.

- Ach, tak... Skoro odpoczywa... Bruno rzucił jej rozbawione spojrzenie.

- A jeśli wolisz, to weź Jacka i jedźcie sami. Ja zawsze mogę iść do pracy i uszczęśliwić Tristana, który mnie zastępuje.

Na to nie mogła pozwolić! Jack byłby strasznie rozczarowany.

- No cóż...

- Rozchmurz się - dodał Bruno. - Może cię spotkać niespodzianka.

Niewykluczone, że będziesz się dobrze bawić i w moim towarzystwie.

- Myślisz? - spytała ironicznie. Roześmiał się.

- Słowo honoru, że to nie intryga. Rosie udało się przeziębienie bez mojej pomocy.

Frances westchnęła. Chyba nie pozostało jej nic innego, jak tylko się poddać.

Załadowali wszystko co trzeba do range rovera i w końcu ruszyli.

Oczy Frances od czasu do czasu błądziły w bok, w stronę niepokojącej sylwetki Bruna za kierownicą.

Ale dlaczego?

Przecież Bruno Quillan nic dla niej nie znaczy.

Tak czy owak jest z nimi Jack. Przy Jacku nic nie może się zdarzyć.

Zaczerwieniła się i utkwiała wzrok w drodze.

Przynajmniej ubrała się stosownie: włożyła krótkie, ale nie za krótkie piaskowe spodnie, na których nie będzie widać brudu, różową bluzkę wiązaną w talii i cienką chustkę w tym samym odcieniu jako przepaskę na włosy. Na nogi włożyła espadryle: na tenisówki było stanowczo za gorąco. Wysiadając z samochodu nie mogła nie zauważyć, że Bruno z jawnym uznaniem wpatruje się w jej długie, kształtne nogi. Może jednak te szorty to wcale nie był taki dobry pomysł?...

- Najpierw gramy w krykieta! - zawołał Jack. Bruno oderwał wzrok od jej nóg.

- Najpierw się rozpakujemy, a potem zagramy.

- Najpierw krem z filtrem - zarządziła Frances. Schwyciła Jacka i nasmarowała mu nogi i ręce. Chłopiec chichotał, ale ustał spokojnie na tyle długo, by zdołała w miarę porządku zabezpieczyć jego piegowatą skórę. Na koniec włożyła mu na jasne włosy czapkę baseballową. Czowała, że cieszy go jej troska o niego i poczuła żal w sercu.

- No to idę poćwiczyć, dopóki nie skończycie! - zawołał i pobiegł między drzewa. Śmiejąc się, odprowadzali go wzrokiem.

- A ja? - Bruno ściągnął przez głowę niebieską koszulkę. - Jestem wyjątkowo wrażliwy na słońce.

Z wrażenia o mało nie upadła. Tak po prostu stanął tuż przed nią półnagi. Szeroka pierś porośnięta kręconymi ciemnymi włosami, płaski brzuch przedzielony pionową linią owłosienia, niknącą za paskiem niebieskich bermudów...

- Coś nie w porządku? - Bruno, bynajmniej nie speszony, pokazał zęby w uśmiechu. Stał tak blisko, że czuła na twarzy jego oddech.

Tymczasem Jack znikł za drzewami. Byli sami!

- Nie... nic. - Wręczyła mu tubę kremu. - Masz, posmaruj się i ty.

- To niezbyt miło z twojej strony. Nie wszędzie mogę sięgnąć. Co będzie, jeśli się spiekę? - Poklepał się po karku.

- No to najwyżej się spieczesz - sarknęła. - A jeśli nie chcesz, po prostu włóż na siebie to, co zdjąłeś. A w ogóle jesteś chyba ostatnim człowiekiem na ziemi, któremu słońce mogłoby zaszkodzić.

Zerknął na porzuconą koszulkę.

- Och, ale wysiłek fizyczny bardzo mnie rozpala. Ignorując ten dwuznacznik, obojętnie uniosła głowę.

- Mnie też, ale nie zdejmuję ubrania.

- Szkoda. - Zrobił komiczną minę. - Czy mogę ci posmarować te miejsca, których nie zakrywasz przed światem?

- Świetnie się bawisz, co? - napadła na niego. - Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że zaplanowałeś to wszystko, żeby... żeby...

- Żeby co? - Uśmiechnął się czarująco. - Żeby cię, samą w lesie, nikczemnie zniewolić? Myślę, że z Tygryskiem w pobliżu nie masz się czego obawiać. A zresztą jestem dziś wyjątkowo grzeczny.

- Twoje szczęście!

Odepchnęła go, wetknęła głowę do samochodu i zaczęła wyciągać kosz. Policzki jej płonęły. Dobrze, że w porę udało jej się ukryć rumieńce i nie dać mu kolejnego powodu do uciechy, że tak łatwo ją wyprowadzić z równowagi.

- Pomóc?

- Nie, dziękuję.

Ale sama nie dała sobie rady. Kosz był ciężki i nie mogła go udźwignąć. Bruno położył dłonie na jej rękach i przejął go od niej. Przyciśnięta do samochodu, nie mogła się ruszyć.

I tak by zresztą nie zdołała tego zrobić, bo nogi jej zmiękły na widok jego rozchylonych ust, uśmiechniętych i kuszących! I nagle te usta dotknęły jej warg. Kosz głucho stuknął o ziemię. Zarzuciła Brunowi ręce na szyję i zamknęła oczy. Delikatnie gładziła jego włosy. Teraz wreszcie mogła to zrobić. Dłoń Brunna powędrowała do jej biodra, przyciągnął ją bliżej...

Wtem w oddali odezwał się głos Jacka. Alarm! Bruno oderwał się od niej; zawirowało jej w głowie i, oszołomiona, na oślep wyciągnęła ręce, by złapać się czegokolwiek i odzyskać równowagę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jack wyrósł nagle obok samochodu.

- Możemy teraz puścić latawca? - krzyknął.

Frances oprzytomniała. Odwróciła się i udawała, że rozpakowuje koce. Jackiem zajął się Bruno.

Nie miała pojęcia, jak długo trwali spleceni. Wiedziała tylko, że pozwoliła sobie na grzeszną przyjemność pocałunku. Tylko że ona przecież nie lubi Bruna Quillana. W tym cały problem!

Nie podnosiła głowy w obawie, że Jack coś zauważy. Wargi jej pulsowały. Dotknęła ich językiem i przypomniała sobie, że to samo zrobiła za pierwszym razem, gdy Bruno ją pocałował wtedy w ogrodzie. I znów mu na to pozwoliła: tym razem prawie na oczach Jacka.

Była zdruzgotana. A on, ojciec chłopca, powinien mieć więcej rozumu! Choć on prawdopodobnie uważa, że to bardzo zabawne!

- Idź z latawcem na tę przesiekę, Tygrysku - słyszała za plecami jego głos.
- Ja tylko pomogę Frances przenieść kosz i zaraz do ciebie przyjdę.

Jack popędził co tchu. Zapadła cisza, w której Frances słyszała tylko bicie własnego serca.

- Frances?

Odwróciła się gwałtownie.

- Jak mogłeś zrobić coś podobnego przy Jacku?

- Chcesz powiedzieć, że mogę to robić, kiedy go nie ma?

Zacisnęła pięści.

- Oczywiście, że nie! Chciałam powiedzieć... Jego leniwy uśmiech kompletnie zbił ją z tropu.

- Na miłość boską, Frances, nie bądź taka nerwowa! Przecież to był tylko pocałunek...

- Nawet jeszcze nie przeprosiłeś za pierwszy! Wybuchnął głośnym i serdecznym śmiechem.

- Och, ty kochany dzieciaku...

- Nie mów tak do mnie. I przestań się ze mnie śmiać! Była bliska płaczu. Dlaczego zawsze pozwalam mu się stawiać w takiej sytuacji, myślała upokorzona.

- No już. - Spowaźniał nieco. - Rozchmurz się, jest piękny dzień i mamy wszelkie powody, żeby się dobrze bawić. Obiecuję, że skoro sobie nie życzysz, więcej cię nie tknę.

- Nie, nie życzę sobie. Ani przy Jacku, ani w żadnych innych okolicznościach! - Zajęła się kocami; kąci jej oczu niebezpiecznie zwilgotniały. Drżała. Nienawidzę go, powiedziała sobie. I jeśli mnie dotknie, dostanie w twarz.

Ale nie dotknął. Podniósł kosz piknikowy i powiedział cicho:

- Ten mężczyzna, ktokolwiek to był, musiał cię bardzo zranić... Ale ja nie jestem nim, Frances. Jestem sobą. Proszę, postaraj się to zauważyć.

Z tymi słowami odszedł. W zdumieniu potrząsnęła głową.

Skąd wie o Gregu? Zgadł?

Jak przez mgłę docierały do niej głosy. Jacka, Bruna. Podeszła do kosza, uklękła i jej dłonie zajęły się przygotowaniami do posiłku, ale myśli szybowwały jak latawiec nad ich głowami.

Czyżby Greg aż tak bardzo ją zranił, że nadał chciała mścić się na wszystkich mężczyznach? Musiała spojrzeć prawdzie w oczy. Sprawił to Bruno. Czy dlatego tak gwałtownie go zaatakowała?

Wiedziała, że przesadziła, ale przy nim czuła się często ogromnie spięta. Zasłanianie się wrogością było odruchem samoobrony.

Machinalnie kładła upieczone przez Rosę udka kurczaka i sałatkę na papierowe talerze.

Plastikowe kubki... napoje... serwetki... sztucce...

Dlaczego tak się denerwuje w obecności Bruna Quillana?

Ciasto z owocami... sery i pełnoziarniste biskwity...

Arogant, egocentryk, przemądrzalec!

Sól i pieprz...

Tak po prostu wziął ją w ramiona i pocałował... Czy to samo było z Suzie Collins i Meg Fellows? Przerwała przygotowania do posiłku i przysiadła na piętach. Jest zazdrosna nawet o Lindsay. Nie do wiary, a jednak to prawda.

- Widziałaś, Fran? Widziałaś? - Jack bez tchu zwał się obok niej. Jego niebieskie oczy lśniły szczęściem. - Jeszcze nigdy tak wysoko nie pofrunął. Prawie w kosmos!

Zmusiła się do uśmiechu, powiedziała nawet parę słów. Starła się zachowywać normalnie, choć właśnie uświadomiła sobie, jaka jest zazdrosna i zakłamana. Prawda wyglądała tak, że wcale nie nienawidziła Bruna Quillana. Nienawidziła swojego podobieństwa do Lindsay, gdyż bała się, że tylko to go w niej pociąga!

Przez cały następny tydzień nie wspominali o niedzieli. Frances podejrzewała, że Bruno nie chce rozgłaszać faktu, iż spędził cały dzień w towarzystwie swojej pielęgniarki. Jej także to odpowiadało. Nie chciała stać się tematem plotek, o co w takiej małej społeczności bardzo łatwo. Wystarczy wspomnieć pogłoski o Suzie Collins i Meg Fellows. Bóg jeden wie, czy miały jakiegokolwiek podstawy.

Rosa zadzwoniła do niej, by przeprosić za swoją nieobecność, ale następne zaproszenie nie padło. Frances poczuła zarówno ulgę, jak i lekkie rozczarowanie.

Na początku tygodnia odwiedziła dom Clarków.

Sarah skończyła właśnie karmić Freddiego, który od razu głęboko zasnął.

- Jak on się miewa? - spytała cicho Frances. Młoda matka wzruszyła ramionami.

- Miał operację... o jakiejś dziwnej nazwie, wyleciała mi z głowy. W każdym razie chyba pomogła.

- Operację Ramstedta?

- Wie pani coś na ten temat?

Frances opisała jej prosty zabieg polegający na nacięciu powłok brzusznych, a następnie przerośniętego odźwiernika, tak aby jedzenie mogło swobodnie przechodzić dalej. Dodała też, że operacja ta udaje się praktycznie w stu procentach.

- Tak... - westchnęła Sarah. - Teraz pamiętam, że chirurg też mi to mówił. Ale byłam zbyt... zagubiona, żeby to wszystko pojąć. Czułam się... bałam się, że to wszystko ma coś wspólnego ze mną. Że coś źle robiłam, albo że coś mu się stało, kiedy byłam jeszcze w ciąży.

Frances zrozumiała, że ta kobieta obwiniała siebie za chorobę synka. I sądząc z jej wyglądu i zachowania, nadal się z tym nie uporała. Powiedziała więc łagodnie:

- Myślę, że byłoby dobrze, gdyby pani powiedziała o swoim problemie doktorowi Quillanowi. Z pewnością będzie umiał wyjaśnić różne rzeczy, które panią gnębią.

Sarah była bliska łez.

- Mój mąż uważa, że powinnam brać jakieś leki. A ja po prostu mam ochotę zostawić to wszystko i uciec.

Frances nie odpowiedziała od razu. Uprzytomniła sobie, że Sarah jest w głębokiej depresji. Trzeba powiedzieć Brunowi, żeby ją jak najszybciej odwiedził.

- Niech pani się tak nie zamartwia. Wiele matek czuje się tak po porodzie. To całkiem naturalne.

Ale Sarah nie dawała się pocieszyć.

- Po urodzeniu Joanny szalałam ze szczęścia. Dlaczego z Freddie'm jest inaczej?

Na to pytanie Frances nie umiała odpowiedzieć, w każdym razie nie od razu. Tu potrzebny był lekarz.

Do przychodni wracała w pośpiechu. Miała nadzieję, że złapie jeszcze Bruna. Niestety, wyszedł już na swoje wizyty. Napisała więc dla niego notatkę na następny dzień i podkreśliła na czerwono.

Gdy jednak następnego popołudnia weszła do przychodni, wizyta nie była jeszcze odkreślona. Frances poczuła się nieswojo. Sarah Clark potrzebuje natychmiastowej pomocy. Czyżby nie dość jasno to ujęła? Tymczasem z gabinetu wyszła Meg Fellows i podała Frances receptę dla jednego ze swoich obłożnie chorych pacjentów.

- Proszę to dać panu Jenksowi, kiedy pani u niego będzie. - Zmarszczyła brwi. - Czy coś się stało?

- Przepraszam. - Frances przygryzła wargę. - Chodzi o Sarah Clark, pacjentkę doktora Quillana. Myślałam, że będzie u niej dzisiaj i...

- Ach, to - przerwała jej Meg Fellows. - Wszystko w porządku. Doktor Quillan prosił mnie, żebym ją odwiedziła. Depresja poporodowa, prawda?

Frances milczała chwilę. Była zaszokowana, że Bruno wyręczył się w sprawie Sarah kimś innym.

- Jej mały synek był niedawno operowany z powodu stenozы odźwiernika. Ona jest w bardzo złym nastroju. - Jak można to wyjaśnić w ciągu paru minut? - Widziałam się z nią wczoraj. To głęboka depresja.

Meg odgarnęła ciemne włosy. Była przystojną trzydziestoparoletnią kobietą o zdecydowanym, rzeczowym sposobie bycia. Frances przypuszczała, że tak samo odnosi się do gości na swoich słynnych przyjęciach, jak i do pacjentów.

- Wiem, wiem - powiedziała. - Coś jeszcze?

Frances pokręciła głową i odprowadziła ją wzrokiem. Biedna Sarah! Jak Bruno mógł! Z rejestracji wyszła Gill.

- Jak leci?

- Naprawdę chcesz wiedzieć? - mruknęła Frances.

- Jak to w życiu, co? Raz na wozie, raz pod wozem. Aha, a co u Benity? Miałaś jakieś wiadomości? Urodziła już?

- Tak, chłopca. Jej mąż do mnie dzwonił. Benita pojechała z małym do swoich rodziców. Dopiero we wrześniu wróci do domu.

- A potem do nas. - Gill zawahała się. - No a ty, Frances, bardzo tęsknisz za Londynem?

Już miała przytaknąć, kiedy ku swemu zdziwieniu uprzytomniła sobie, że wcale nie tęskni. Ani za gwarem, ani za swoim mieszkaniem, ani za przyjaciółmi czy też pracą.

Głupie, ale prawdziwe, pomyślała, żegnając się z Gill. Idąc do mieszkanca na Bow Lane zrozumiała, że przywykła uważać je za swój dom.

- Może tak byś się uspokoiła i posłuchała?

- Uspokoila?! Jak mogłeś tak zignorować moją prośbę? Obiecałeś mi, że do niej pójdziesz!

- Wiem. - Bruno skinął głową. - Ale potem przyszło mi na myśl coś innego. Po prostu nie zdążyłem ci wytłumaczyć.

- Co tu tłumaczyć? Sarah czekała na ciebie, nie na doktor Fellows. A ty ją zlekceważyłeś.

- Nie zlekceważyłem jej, Frances.

- Przekazałeś ją komuś innemu. Na jedno wychodzi. A ona ci wierzyła. Wszystko jasne.

- Nic nie jest jasne, chyba że jesteś jasnowidzem. - Podniósł głos. - Na miłość boską, kobieto, usiądź, to ci wyjaśnię.

Usiadła i skrzyżowała ręce. Ciekawe, jaką znajdzie wymówkę. Oby dobrą! On też usiadł.

- Teraz lepiej. Od dawna myślałem, żeby poprosić Meg o rozmowę z Sarah. I tak się złożyło, że kiedy zobaczyłem twoją wiadomość, Meg stała obok mnie, sprawdzając, jakie ma wizyty. Pomyślałem, że to dobra okazja

- Ale... - próbowała wpaść mu w słowo Frances.

- I muszę z zadowoleniem stwierdzić - ciągnął Bruno - że Meg odniosła sukces. Sarah zwierzyła jej się, że ma poczucie winy, bo bardziej kocha córeczkę niż Freddiego, i że czasem czuje się wobec niego nienaturalnie zimna, obojętna. Stąd przemożne pragnienie, żeby uciec od uczuć, których nie rozumie.

- Powiedziała to wszystko doktor Fellows?

- Frances, jesteś dobrą pielęgniarką, ale masz skłonność do myślenia, że zawsze najlepiej wiesz, co jest dobre dla twoich pacjentów. A ja nie bez powodu prosiłem Meg, żeby odwiedziła Sarah Clark. Ona mogła jej pomóc lepiej niż ja i chyba lepiej niż ktoś z zewnątrz.

- Dlaczego?

Zawahał się, zanim odpowiedział:

- Meg miała ten sam problem po urodzeniu drugiego dziecka, Annette. Do tego stopnia, że przez pewien czas nie była zdolna do pracy. Były jeszcze inne sprawy; mąż opuścił ją dla młodszej kobiety... Ciężko to przeżyła, ale w końcu po terapii wróciła do zawodu, a jej doświadczenia wzbogaciły ją jako lekarza.

Frances milczała dłuższą chwilę.

- Nic nie wiedziałam... Szkoda, że nikt mi nie powiedział.

- Chciałem. Ale mnie zakrzyczałaś.

- No tak. - Poprawiła się na krześle i westchnęła. - Muszę przyznać, że czuję się dość głupio.

- Ty martwiłaś się o pacjentkę. - Wzruszył ramionami. - Z drugiej strony ja nie chciałem się spieszyć. Rzeczywiście miałem nadzieję, że problem sam się rozwiąże, gdy mały wróci do zdrowia. Niestety, jak przewidziałaś z właściwą sobie przenikliwością niedostępną dla nas, zwykłych śmiertelników, tak się nie stało.

Przerwało im pukanie do drzwi.

- Och, przepraszam - powiedziała zmieszana Suzie Collins. - Nie wiedziałam, że jesteś zajęty.

- Nie szkodzi, wejdz, Suzie. Właśnie skończyliśmy.

Frances podniosła się i wyszła.

Ukryta w toalecie, obmyła sobie twarz zimną wodą. Musi się jakoś uspokoić. Bruno sprawił, że poczuła się jak skończona idiotka.

Coś robi źle.

Ale co?

Później tego dnia napisała do Sereny Rasti. W największym skrócie opisała, co zaszło, i wyraziła w imieniu Madjur nadzieję, że córka odpowie na list.

Wracając z poczty, zaszła do pubu. Miała ochotę zaszaleć i kupić sobie jakieś niedrogie wino. W lokalu było pełno: upał zwabił wielu chętnych. Frances stanęła w kolejce do lady, gdzie sprzedawano alkohol na wynos.

Czekając, aż zostanie obsłużona, podziwiała nieskazitelną zieleń trawnika w barowym ogródku. Stoliki ocieniały prążkowane parasole; w powietrzu rozbrzmiewały ptasie trele. Wspomniała dzień, gdy była tu z Brunem, i to, jak pożerał łąpczywie kanapkę. Uśmiechnęła się do siebie. Jej oczy błędziły dalej, między stolikami...

Nagle zmarszczyła brwi, zauważywszy kogoś.

Ależ tak, знаła tę kobietę o srebrzystoblond włosach upiętych w luźny kok, zatopioną w rozmowie z młodym mężczyzną naprzeciwko. Chyba nikt oprócz Frances nie zauważył ich przelotnego pocałunku.

Odchodząc od lady, Frances jeszcze raz rzuciła okiem na tę parę i zagryzła wargi. Idąc powoli do domu, zastanawiała się, czy nie lepiej będzie zapomnieć o tym, co widziała. Zwłaszcza że Bruno pomyśli zapewne, iż kieruje nią chęć rewanżu.

- Jest u mnie Gabriel Bally - powiedział jej Bruno następnego dnia. - Kieruję go na koronarografię i... hm... chciałby zamienić z tobą parę słów.

- Ze mną? Przecież wyraźnie dałeś mi do zrozumienia, że jestem ostatnią osobą, którą życzyłyby sobie widzieć.

- Mówiłem, że skargę złożyła jego żona, nie on. Idziesz?

Widok Gabriela nią wstrząsnął. Jeśli dawniej wyglądał kiepsko, to teraz wręcz okropnie. I uderzył ją wyraz jego oczu, coś, co nie było przejawem tylko fizycznego cierpienia. Aż nadto dobrze wiedziała, co to może być!

- Chciałem panią przeprosić, siostró. - Urwał, szukając właściwych słów.

- Petra miała ostatnio wiele zmartwień i stąd jej przesadna reakcja, niczym przez panią niezawiniona, w czasie pani wizyty. Wiem, że złożyła skargę, i już ją wycofałem. Zechce pani przyjąć nasze przeprosiny.

A więc nadal jej broni, pomyślała Frances z westchnieniem. Może wie o wszystkim - ale nie chce przyjąć tego do wiadomości. Może wie już od dawna.

- Nie ma o czym mówić - powiedziała głośno. - Jak się pan czuje?

- Jakoś żyję.

- No właśnie - włączył się Bruno. - Mówiłem już, że chciałbym pana skierować na koronarografię. W międzyczasie dam panu leki, które doraźnie poprawią ukrwienie serca.

- Co to jest koronarografia? - spytał niespokojnie Bally.

- To badanie radiologiczne, dzięki któremu można stwierdzić, czy żadna z tętnic zaopatrujących serce, tętnic wieńcowych, nie jest zatkana lub zwężona. Wymaga ono wprowadzenia do tętnicy cewnika, który następnie wędruje z prądem krwi aż do serca i przez który wstrzykuje się kontrast. Brzmi to skomplikowanie, ale jest dość proste. Wymaga jednak kilkudniowego pobytu w szpitalu.

- Nie chciałbym być już dłużej poza domem... ale dobrze, skoro pan uważa, że to konieczne, panie doktorze.

- Uważam, że musimy wykorzystać każdą możliwość.

- W porządku - zgodził się przygnębiony pacjent. - Będę czekał na wiadomość.

Frances opuściła gabinet razem z nim.

- Nie przyjechał pan samochodem? - spytała, widząc, jak niepewnie przystanął przed wyjściem.

- Nie... Niestety, Petra miała dziś jakieś spotkanie i nie mogła mnie podwieźć.

- Proszę chwilę odpocząć, wezwę dla pana taksówkę.

Gdy Gabriel Bally wreszcie odjechał, bezpiecznie usadowiony w taksówce, ona jeszcze dłuższą chwilę stała zatopiona w myślach. Nagle pojawił się Bruno z teczką w dłoni.

- Nie najlepiej z nim - powiedział cicho.

- To poważna sprawa, prawda?

- Może potrzebować bypassów. Frances westchnęła. Nie była zaskoczona.

- Miejmy nadzieję, że znajdzie oparcie w domu.

Wiedziała jednak, że to tylko pobożne życzenia. Jakoś nie mogła sobie wyobrazić, żeby Petra Bally rzuciła młodego kochanka dla schorowanego męża.

Nagle uprzytomniła sobie, że Bruno coś do niej mówi.

- Przepraszam, nie usłyszałam cię.

- Mówiłem, że należały ci się przeprosiny. Teraz ci lepiej?

- Tak sobie. Jeśli mi się należały, to nie od niego. Uśmiechnął się i dotknął jej ramienia.

- Zapraszam cię w niedzielę na kolację. Nie chcę słyszeć o odmowie.

Niech to będzie moje skromne zadośćuczynienie za ten niewielki procent populacji pacjentów, którzy utrudniają życie pielęgniarkom rejonowym.

- Pacjentów? - Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- I sporadycznie spotykanych nieznośnych lekarzy.

- W tej sytuacji nie mogę odmówić.

- Może pójdziemy do tego włoskiego bistro w Cerne Carey? Godzinę ustalimy później.

Zniknął. Jak zwykle z prędkością światła.

Wracając do przychodni, natknęła się na Suzie Collins. Mogłaby przysiąc, że tamta obserwowała ich przez okno. I nagle zrodził się w niej odruch buntu. A dlaczego nie? Uwielbia włoskie jedzenie! Uśmiechnięta minęła Suzie, zastanawiając się, jak się ubierze.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- No, no!

Pod jego pełnym podziwu spojrzeniem zarumieniła się wstydliwie. Jej zmieszanie pogłębiało zaskoczenie na widok jego nieskazitelnego garnituru i świeżo ostrzyżonych włosów.

Jedwabną obcisłą sukienkę barwy morza kupiła sobie specjalnie na tę okazję. Jej wąska spódnica okazała się pierwszą barierą przy wsiadaniu do samochodu. Oboje roześmiali się, gdy w dodatku pośliznęła się na wysokich obcasach, choć ona śmiała się raczej, by pokryć zażenowanie, a on, jak podejrzewała, z zadowolenia, na widok odsłoniętych przy tej okazji kilkunastu centymetrów nóg w jedwabnych pończochach. Szybko obciągnęła sukienkę, przy czym upuściła torebkę. Próbując ją złapać, zachwiała się i niemal padła w jego ramiona. Przeskoczyła między nimi jakby iskra elektryczna.

Bruno pomógł jej usiąść i włożył torebkę w drżące dłonie.

- Cóż to, siostró Duncan, wszystko nam dziś leci z rąk? A gdzie zwykle opanowanie? - spytał ironicznie.

Uśmiechnęła się, on też, błyskając olśniewająco białymi zębami. A przecież tydzień temu, nawet wczoraj, natychmiast by się obraziła. Dziś potrafi się śmiać z żartu na swój temat.

Przez chwilę czuła wyrzuty sumienia. Dlaczego jeszcze niedawno tak łatwo jej było go potępiać?

W bistro u Giovanniego było miło i nastrojowo. Płoneły świece, z głośników dobiegała cicha muzyka, a w powietrzu unosiły się apetyczne wonie.

Zamówili kolację, choć Frances nie umiałaby powiedzieć, co jadła. Ciemne oczy naprzeciwko zdawały się ją hipnotyzować. Czas stanął w miejscu. Bruno opowiadał jej zabawne historyjki ze studiów, z pracy, mówił też o Rosie, Jacku i Christinie, i o swojej rodzinie za granicą. Ona śmiała się, myśląc jednocześnie, jaki jest pociągający w tej ciemnej marynarce i białej koszuli, kontrastującej z opaloną szyją. Ten widok coś jej przypomniał.

- Twój sweter! - Zdjęta zgrozą zasłoniła dłonią usta.

- Nawet się zastanawiałem, czy go jeszcze kiedyś zobaczę.

- Jest cały czas w samochodzie. Zupełnie zapomniałam...

- Przecież żartuję. - Nachylił się ku niej i ujął jej rękę. - Zatrzymaj go na inny deszczowy dzień.

Pod dotknięciem jego palców zabrakło jej tchu. Ale to, co nastąpiło później, zaskoczyło ją jeszcze bardziej.

- Frances - szepnął łagodnie. - Kto to był?

Patrzyła na niego osłupiała.

- Był ktoś, prawda? - nalegał.

- Nie sądzę, żeby...

- Kochasz go jeszcze? Zwilżyła językiem suche wargi.

- To już skończone.

- Skończone to jeszcze nie znaczy, że go nie kochasz. Spojrzała w mu oczy.

- Greg służył w armii. - Niełatwo jej było mówić. O Gregu nie rozmawiała jeszcze z nikim. - W jednostce specjalnej. Kiedy się poznaliśmy, nie zastanawiałam się nad konsekwencjami tego faktu. Zauroczenie i tyle... Ale sześć miesięcy później o mało nie zginął podczas zamachu w Belfaście. Próbowałam sobie wmawiać, że się nie boję, że nie żyję jak na beczce prochu... nie czekam na dziennik... na telefon...

- Ale tak było? Skinęła głową.

- Całe moje dzieciństwo upłynęło w środowisku wojskowych. To mi nie przeszkadzało. Rozumiałam związane z tym problemy, akceptowałam konieczność długich rozstań, podróży i to, że rodzina nigdy nie wiedziała, gdzie się znajdzie. Ale stopniowo dotarło do mnie, że Gregowi adrenalina, niebezpieczeństwo tej pracy były niezbędne do życia. I z tym nie mogłam się pogodzić.

- Nie można było tego jakoś inaczej rozwiązać?

- Chodzi ci o przeniesienie do innej jednostki? Kiedy przyszło podjąć decyzję, Greg wybrał Zatokę Perską. Misja specjalna.

- Tak mi przykro, Frances.

Nie czuła jednak bólu, którego się spodziewała. Bruno podniósł jej dłoń do ust.

- Ten twój Greg to głupiec.

- No więc teraz, skoro już wyciągnęłaś ze mnie moją nudną historię, może byś mi opowiedział o sobie?

- Przecież cały wieczór raczyłem cię historyjkami o sobie - uśmiechnął się. - Czyżbyś nie słuchała?

- Owszem, słuchałam. Może nawet bardziej tego, czego nie mówisz, niż tego, co mówisz.

Opuścił dłoń i położył na stole. Podniósł na nią wzrok. Nadal się uśmiechał, ale w jego ciemnych oczach dostrzegła smutek. Skrywany, a jednak widoczny.

- Przepraszam - westchnęła. - Nie powinnam była pytać. Greg przynajmniej żyje. Ty nie miałeś wyboru.

- Obawiam się, że się mylisz.

Zmarszczył czoło. Czekala, czy jeszcze coś powie. Podjął temat z wahaniem, powoli szukając słów.

- Poznałem Lindsay na studiach. Ona ich jednak nie skończyła, rzuciła medycynę. Już wtedy powinienem był zauważyć, jaki z niej niespokojny duch, i

próbować temu zaradzić. Ale ja ją jeszcze utwierdzałem w jej postanowieniach. Po moim dyplomie pobraliśmy się. Sądziłem, że się ustakuje, ale ona zawsze chciała czegoś innego... Otworzyła małą firmę projektowania wnętrz. Przez jakiś czas to jej wystarczało.

- I była szczęśliwa?

- Niestety nie. Chyba nie dorastałem do jej wymagań. - Spuścił oczy, bawiąc się bezwiednie widelcem. - Dość wcześnie się zorientowałem, że jest źle. Ignorowałem jej wysoki, modląc się tylko, żeby nie stała się publiczną tajemnicą. Chciałem uratować związek ze względu na Jacka. Nie przypuszczałem, że odejdzie... zabierze go. To było takie niespodziewane. Druzgocące. Ale gdy... zdołałem się trochę oswoić z tą świadomością, zrozumiałem, że nie chcę, żeby wróciła. Mógłbym ją przyjąć tylko przez wzgląd na Jacka.

- A czy on coś z tego pamięta?

- Nie sądzę. Kiedy zmarła, miał zaledwie cztery lata. Jej samochód zjechał z szosy. Policja przypuszczała, że zasnęła za kierownicą. Zginęła na miejscu, ale jej przyjaciel ocalał.

- Przykro mi, naprawdę. - Miała ochotę go przytulić, pocieszyć. - Ale przynajmniej nie było z nimi Jacka.

- Dzięki Bogu był wtedy u Rosy. Lindsay podrzucała jej go bez skrpułów, kiedy tylko miała ochotę. Biedna Rosa. Na nią spadł największy ciężar. Musiała poradzić sobie jednocześnie ze mną, z Jackiem i z własnym nieszczęściem. Jest jak opoka.

- Tak - przyznała Frances. - To wspaniała kobieta.

Przyniesiono im kawę, którą pili w milczeniu. Po dłuższej chwili Bruno odezwał się tak cicho, że ledwie go usłyszała.

- Gdyby Rosa nie zastąpiła mu matki, to wszystko byłoby dla niego koszmarem. Ona wie, że nie narażę go na żadne ryzyko.

Po raz pierwszy zrozumiała, ile dla niego znaczy szczęście Jacka. Więcej niż własne. Już miała zapewnić, że ona go nie zrani, że przywiązała się do niego z całego serca, gdy odchrząknął i pochylił się ku niej.

- Chciałem ci powiedzieć coś jeszcze, ale... Po prostu przepraszam.

- A to za co?

- Za fatalny początek.

- Och - uśmiechnęła się. - To była i moja wina. Byłam na ciebie wściekła, że w ogóle ze mną nie rozmawiasz. Myślałam, że czujesz do mnie niechęć.

- Miałaś prawo być zła - przyznał. - Na swoją obronę mogę powiedzieć tylko tyle, że czułem się w pewien sposób zagrożony. Ale niechęć... Czy jakikolwiek mężczyzna mógłby czuć niechęć to takiego uroczego stworzenia jak ty? Nie, to nie było tak...

W tej chwili zjawiał się kelner z pytaniem, czy życzą sobie czegoś jeszcze. Frances czuła, że gdyby nie to, Bruno powiedziałby coś więcej... znacznie więcej. Ale odpowiednia chwila minęła. Nie powrócili już do tego tematu.

Jechali w milczeniu. Bruno wiozł ją prosto do domu. Była rozczarowana, ale nie zdziwiona. Choćby nie wiem jak chciała, by ten wieczór trwał, przecież musiał się kiedyś skończyć. Czy ma go zaprosić go kawę?

Range rover stanął. Bow Lane skrywała ciemność, którą rozpraszała tylko mglista poświata kilku latarni. Bruno wyłączył silnik i ujął jej dłoń.

- Drżysz?

- Niestety. - Skinęła głową. - Śmieszne, prawda?

- Słuchaj, muszę ci coś powiedzieć... - Odetchnął głęboko i uściśnął mocniej jej palce. - Powinnaś wiedzieć, że...

Nie mów! - zawołała w duchu. Nie psuj tej czarodziejskiej nocy. Zaraz powie jej o swoich przygodach z Suzie i Meg i o tym, że po przeżyciach z Lindsay postanowił z nikim już się nie wiązać.

- Zastanawiałem się, jak ci to powiedzieć... Nie chcę, żeby to brzmiało zbyt teatralnie... Nie wiem...

Nie, o nie! Pod powiekami zapiekły ją łzy. Jaki popełniła błąd? Widać nauczka, jaką dał jej Greg, była jeszcze za słaba. Nadal odsłania serce na ciosy.

- Wiem - ucieła, sięgając do klamki. - A właściwie rozumiem - poprawiła rzeczowo, chcąc jak najszybciej wysiąść i ocalić resztki godności. - Myślę, że to odpowiednia chwila, żeby powiedzieć sobie dobranoc i... to był przemiły wieczór. Dziękuję.

- Frances, zaczekaj!

Pędem przebiegła brukowaną uliczkę. Gwałtownie otworzyła zamek, zatrzasnęła drzwi za sobą i pomknęła na górę.

Minęło sporo czasu, zanim usłyszała odjeżdżający samochód. Światło reflektorów omiotło sufit, po czym stopniowo gasło, aż pokój pogrążył się w ciemności.

Opadła na kanapę, ukryła twarz w dłoniach i pozwoliła popłynąć łzom.

Następne dwa tygodnie były okropne. Lipiec zaczął się deszczem i chłodem.

Bruno traktował ją uprzejmie, ale oficjalnie, a ona odpowiadała mu tym samym.

Najdziwniejsza rzecz zdarzyła się pewnego szarego dnia, gdy Frances przyszła na wizytę do Grove'ów i zastała tam Jacka. Był w ogrodzie z Carlem, który demonstrował mu swoją biegłość w rugby.

- Proponowaliśmy Brunowi, żeby Jack spędził z nami wakacje. Carl miałby towarzystwo - wyjaśniła Gwen. - Ale okazało się, że wkrótce wyjeżdża do rodziny i może zostać u nas tylko jeden dzień.

Frances przypomniała sobie o planowanym pobycie Jacka u Christiny. Ze współczuciem obserwowała drobną postać włóczącą się po mokrym ogrodzie za Carlem, który z całej siły kopał piłkę.

- Ma chłopak styl - powiedział Richard Grove, gdy tak stali w trójkę przy oknie. - W Harrington Hall dzieciaki naprawdę mężnieją.

- Biedny Jack - dołączyła się Gwen, jakby czytała w myślach Frances. - Z trudem za nim nadąża.

- Każde dziecko jest inne. - Frances odruchowo wzięła go w obronę. - Jack ma wrodzone zdolności techniczne. Fantastycznie zna się na komputerze.

- Och, Carl by nie usiedział przy żadnej maszynie - zbył ją Richard Grove.
- To urodzony sportowiec. Ma przed sobą karierę.

Frances odwróciła się od okna.

- Może rzucimy okiem na pański palec?

Antybiotyki zrobiły swoje. Rana się zagoiła, zaczerwienienie zniknęło, żadne ruchy nie sprawiały już pacjentowi bólu.

- Myślę, że możemy zdjąć opatrunek. Miał pan szczęście. Mimo infekcji rana wygoiła się zaskakująco dobrze.

- To wszystko silna wola - oznajmił mężczyzna chępliwie. - Już w zeszłym tygodniu ze dwa razy zdjąłem opatrunek i pracowałem bez problemu.

- To wbrew zaleceniom - zauważyła ostro Frances. - Gdyby pan ją zabrudził...

- Niech no już pani na mnie nie naskakuje - zaśmiał się. - Dość się nasłuchałem od żony.

W tejże chwili do domu wpadli chłopcy. Na jej widok Jack stanął jak wryty.

- Fran! - wykrzyknął, wyraźnie uszczęśliwiony.

- Cześć, Jack! - Uśmiechnęła się ciepło. Świadoma, że Gwen i Richard nie odrywają od niej zaciekawionego wzroku, powstrzymała się od serdeczniejszego powitania. - Właśnie wychodzę - dodała i zaczęła pakować torbę.

- Czy mogę jechać z tobą? - Niebieskie oczy Jacka patrzyły na nią wyczekująco.

Frances zawahała się. Po pamiętnym spotkaniu z Brunem obiecała sobie delikatnie się wycofać.

- Pani Grove z pewnością przygotowała kolację...

- Już jedliśmy - przerwał jej Jack. Wzrok miał błagalny. - I pani Grove musiałaby mnie odwieźć do domu. To by jej zaoszczędziło kłopotu.

- Nie jest to taki znowu wielki kłopot, Jack - roześmiała się gospodyni. - Ale jeśli siostra Duncan nie ma nic przeciwko temu...

- Nie, tylko... - Frances szukała jakiejś wymówki, nie chcąc jednak sprawić chłopcu przykrości. - A jeśli twojej babci nie ma w domu?

- Jest, jest! - Jack promieniał. - Powiedziała, że będzie dziś robić wielkie porządki.

Frances z rozpaczą spojrzała na Gwen, ale ona tylko znów się zaśmiała.

- Chyba nie udał mi się dziś deser - zażartowała i pogoniła chłopców do łazienki.

Odprowadziła Frances do drzwi.

- Ten mały Bruna naprawdę panią lubi - zauważyła z uśmiechem. - Wyglądacie na bardzo zaprzyjaźnionych.

- To miły chłopiec - odparła Frances z rozmyślną powściągliwością. Wiedziała, że Gwen znowu węszy, i nie miała zamiaru jej tego ułatwiać. Ku jej uldze Jack zaraz się pojawił.

- Dziękuję pani za miły dzień - pożegnał się i już był za drzwiami, w połowie drogi do samochodu.

Frances, cokolwiek zażenowana, uśmiechnęła się przeproszająco. Było jasne, że Jack nie mógł się doczekać, aż się stamtąd wydostanie.

- Czy masz jeszcze w domu ten mus czekoladowy, Fran? - spytał, gdy ruszyli.

Frances osłupiała.

- Jack! Podobno chciałeś jechać do domu!

- Niekoniecznie - zachichotał. - Możemy pojechać do ciebie?

- Nie bawiłeś się dobrze u państwa Grove'ów?

- Nie było źle, tylko że oni w kółko gadają o Harrington Hall.

Zerknęła nań zatroskana i znów skupiła się na drodze.

- Nie sądzę, żeby babcia była zachwycona, jeśli cię do siebie zabiorę. A jeśli zadzwoni do pani Grove?

- Och, babcia nie ma nic przeciwko temu, żebym był z tobą. Bardzo cię lubi. I mogę przecież zadzwonić do niej od ciebie.

Frances westchnęła. Zrozumiała, że przegrała tę bitwę.

Rosa wcale nie była zdziwiona, że Jack skrócił pobyt u Grove'ów. Od początku nie miał ochoty tam iść.

Frances nie miała musu czekoladowego, ale zjedli lody i zagraли w scrabble'a. Obserwując go tego wieczoru, Frances wciąż myślała, jaki to bystry, spostrzegawczy i otwarty chłopiec, jeśli tylko zapewnić mu sprzyjającą atmosferę.

Odwoziła go do domu pełna lęku, czy nie spotka Bruna. Obawiała się, iż mógłby pomyśleć, że celowo zatrzymała Jacka.

- Wiesz, że od września będę mieszkał w internacie? - spytał nagle chłopiec.

- Wiem od twojego taty - potwierdziła.

Zapadła długa cisza. Frances zerknęła na niego z ukosa.

- Tato mówi, że to bardzo dobra szkoła - podjął Jack smętnie i, zdaniem Frances, nader lojalnie.

- Na pewno.

- Myślę, że w końcu się przyzwyczaję.

- Jestem o tym przekonana.

Frances utkwiała wzrok w drodze. Serce jej się ścisnęło. Ona swego czasu przyzwyczaiała się do rozłąki z rodzicami, ale ona była innym dzieckiem. Niektóre koleżanki, spokojne, wrażliwe dziewczynki, nigdy do tego nie przywykły. Czy Jack wytrzyma? I dlaczego Bruno się na to zdecydował?

Gdy zajechali przed dom, natychmiast ukazał się w progu. Na jego widok jej serce aż podskoczyło.

- Czołem, Tygrysku! - zawołał, podchodząc do syna. Czule zmierzwił mu włosy.

Weszli do środka. Następne pięć minut wypełnił Jack, opowiadając ojcu o wieczorze na Bow Lane. O Grove'ach w ogóle nie wspomniał. Potem ruszył na poszukiwanie babci.

Gdy Jack wyszedł, Bruno odszukał wzrokiem jej oczy.

- To miło z twojej strony, że go przywiozłaś.

Wydał jej się bardziej pociągający niż kiedykolwiek. Na jego brodzie kładł się delikatny cień. Gdyby dotknęła tego miejsca, byłoby szorstkie i twarde, a gdyby przesunęła dłoń niżej, napotkałaby gładką pierś.

Doprawdy śmieszne! Dała mu wyraźnie do zrozumienia, że on jej nie interesuje, a teraz...

Zadrzała. Pragnęła znaleźć się w jego objęciach. Tak bardzo za nim tęskniła!

Jakby w odpowiedzi na jej nie wypowiedziane życzenie Bruno wziął ją w ramiona i zaborczo pocałował w usta.

- Brakowało mi ciebie, najdroższa - szepnął. Pocałował ją znowu i znowu. Zarzuciła mu ręce na szyję i westchnęła głęboko.

- A mnie ciebie - wyszeptała boleśnie.

Czy zdawał sobie sprawę, jak bardzo jest szczerą?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Był to namiętny pocałunek, zrodzony z najczystszej tęsknoty.

Stali w progu. Gdzieś w głębi domu grało radio, a jej brzmiał w uszach rytm własnego serca. Odetchnęła głęboko, z wysiłkiem próbowała go odepchnąć. Ale on nie puszczał.

- Frances, musimy się spotkać.

- Dobrze - zgodziła się szybko, przerażona, że zaraz wróci Jack. - Tylko puść mnie... proszę.

Powoli uwolnił ją z uścisku.

- Jutro?

Z drżeniem skinęła głową.

- Czy mogę przyjść do ciebie po pracy?

- To chyba nie jest...

- Frances, muszę się z tobą zobaczyć sam na sam.

W tej chwili rzeczywiście pojawił się Jack, a za nim Rosa, i Frances w desperacji odpowiedziała gestem przyzwolenia. Sama nie wiedziała, jak zdołała się pożegnać i dotrzeć do domu. Była zupełnie oszołomiona; myślała tylko o tym, jakie zrobiła głupstwo.

Martwiła się tym całą noc. Rano zauważyła w lustrze cienie pod oczami.

Na miłość boską, ona naprawdę zgodziła się, żeby Bruno do niej przyszedł! A przecież nawet nie udawał, że jest skłonny zaangażować się w stały związek. I nie można mu się dziwić - po tym, co on i Jack wycierpieli z powodu Lindsay. Ale czy to znaczy, że ona musi się wplątywać w romans bez przyszłości, bez najmniejszych choćby szans na rozwój? Jaką cenę zgodzi się zapłacić za zaspokojenie swojego pragnienia?

Dzień włókł się niemiłosiernie. Dwa badania cukru, wymiana cewnika, kilka kontroli pooperacyjnych i nowy pacjent po leczeniu psychiatrycznym,

który wymagał specjalnej opieki w domu. Dobrze przynajmniej, że ani razu nie natknęła się na Bruna. O piątej udało jej się wyrwać do domu.

Po prysznicu, owinięta w gruby miękki ręcznik, stanęła przy otwartym oknie z widokiem na ogród. Wciągnęła w płuca krystalicznie czyste powietrze, zastanawiając się, czy zdąży jeszcze zadzwonić do niego i odwołać spotkanie.

Właśnie miała ruszyć do telefonu, gdy odezwał się dzwonek u drzwi. Stała jak wryta, z mocno bijącym sercem. Potem powoli podeszła do domofonu.

- To ja - odezwał się głęboki głos. - Mogę wejść?

O tyle za wcześnie! Jeszcze się nawet nie zdążyła ubrać!

Z ociąganiem nacisnęła guzik domofonu i pomknęła do sypialni.

Błyskawicznie naciągnęła biały szlafrok i mocno związała w talii. Ręce jej drżały. Rzuciła okiem w lustro. Włosy! Przeczesała je, mokre i splątane, palcami. Tymczasem na schodach dały się słyszeć kroki. Wybiegła z sypialni.

- Przepraszam, że przyszedłem trochę wcześniej - usprawiedliwiał się, wchodząc do pokoju. Jego strój - niebieska koszula, granatowy krawat, ciemne spodnie - świadczył, że musiał przyjechać prosto z pracy.

- Nie spodziewałam się ciebie tak wcześnie... Napijesz się kawy?

- Nie chcę niczego - odparł zmęczonym głosem. - Chcę tylko ciebie.

Podszedł do niej i zamknął ją w uścisku.

- Och, Frances, nawet nie wiesz, jak bardzo cię pragnę, ale po tamtym wieczorze...

- Bruno... Przecież ci powiedziałam, że wszystko rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz - uciął stanowczo. - Widzisz, chciałem ci wtedy wytłumaczyć, co czułem, kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem...

- Dlatego, że jestem podobna do Lindsay?

- To ty wiesz?

- Gill mi powiedziała. Tylko nie myśl, że to były plotki. Myślę, że jej się to po prostu wyrwało.

- No tak, to chyba było nieuniknione. Przykro mi, że dowiedziałas się w taki sposób. A ja, głupi, nawet pochowałem fotografie, bo bałem się, że zrobię ci przykrość. Czulem instynktownie, że jeśli odkryjesz wasze podobieństwo, to nie będziesz chciała...

- Przygody z tobą?

Zamknął oczy i przygarnął ją mocniej.

- Ach, Frances, kiedy Lindsay zabrała Jacka i odeszła, byłem w rozpacz. Przysiągłem sobie, że nigdy już nie narażę ani jego, ani siebie na takie cierpienie. - Odetchnął głęboko, szukając słów, które by jej nie zraniły. - Kiedy ujrzałem cię pierwszego dnia w przychodni, to był cios. Ale kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że jednak różnisz się od Lindsay. Masz delikatniejsze rysy, słodkie usta, oczy ciepłe i łagodne, o zupełnie innym wyrazie niż jej... Ale w pierwszej chwili... dosłownie przez moment...

- Myślałeś, że to ona? Przytaknął i zwilżył wargi.

- Oczywiście w miarę upływu czasu przekonywałem się, że jesteś zupełnie do niej niepodobna. To znaczy macie wspólne cechy fizyczne: ona też była niebieskooką blondynką i miała długie włosy, ale charakterem różnicie się całkowicie...

- Od początku miałam pewne podejrzenia. Wiesz, ty masz takie ciemne włosy i oczy, a Jack...

- Jest podobny do niej... to znaczy fizycznie.

- Biedny Jack. - Odsunęła się od Bruna, a jej twarz przybrała zatroskany wyraz. - Przecież wiesz, że nie mogłabym go skrzywdzić. Tak wiele dla mnie znaczy. Właśnie dlatego starałam się... dać mu czas...

- Wiem. - Uśmiechnął się. - Wiem.

W jej głowie panował chaos. Nie wiedziała, czy czuje ból, czy ulgę, czy ma się śmiać, czy płakać. Całe jej ciało było aż obolałe z pragnienia, z tęsknoty za nim. Ale zadawała sobie pytanie, kogo on trzyma w ramionach.

- Frances, pragnę cię. Boże, tylko ja wiem, jak bardzo cię teraz pragnę.

- Ja ciebie też. - Zamknęła oczy i poddała się pocałunkowi, którego namiętność zagłuszyła wszystkie myśli, wszystkie dręczące wątpliwości, słowem wszystko prócz pragnienia. Poczula, jak jego dłonie rozgarniają tkaninę szlafroka i prześlizgują się po jej nagiej skórze, by na koniec objąć pełne, nabrzmiałe piersi. Oboje osunęli się na kanapę, nie dbając o nic więcej.

- Jesteś taka piękna, moja najdroższa. Chcę się z tobą kochać... Nie chcę cię zranić.

W jakiś dziwny sposób te słowa, które miały ją uspokoić, ostro przywołały ją do rzeczywistości. Bo jeśli jest piękna, to czy jest piękna tak samo jak Lindsay?

Gdy ją całował, czy myślał o Lindsay?

Czy prawdą było to, co jej powiedział: że nie chciał powrotu Lindsay, że byłby ją przyjął z powrotem jedynie ze względu na Jacka?

- Mam przestać? - Uniósł głowę i spojrzał na nią pytająco.

- Nie... Nie wiem.

Powoli oderwał się od niej. Krawat miał przekrzywiony, guziki koszuli rozpięte. Boleśnie zapragnęła przyciągnąć go do siebie z powrotem. Ale on zaciągnął już poły jej szlafroka i zawiązał pasek. Wyciągnął do niej rękę; siedzieli teraz spokojnie, przytuleni.

- Wobec tego zaczekam, aż będziesz wiedziała. - Ujął jej twarz w dłonie i pocałował. - Nie odprowadzaj mnie, zejdę sam.

- Czy mogę cię o coś spytać, Bruno?

- O co?

- Czy... jest ktoś jeszcze?

- Nie. Po Lindsay nie było nikogo. Aż do chwili, kiedy pewnego dnia wszedłem do domu i zastałem tam Jacka i ciebie.

Czy to prawda?

Pocałował ją jeszcze raz, mocniej, natarczywiej, jakby to miało ją przekonać. Jeszcze moment i nie znalazłaby w sobie sił, by pozwolić mu odejść.

Ale on nagle zerwał się i wyszedł z pokoju. Po chwili usłyszała, jak zbiega po schodach.

Gdy szum silnika rozpląnął się w oddali, drżąc i obejmując ramionami boleśnie nabrzmiałe piersi, wróciła do sypialni.

Przez kilka następnych dni Bruno trzymał się na dystans. Był przyjazny, ale wyraźnie dawał jej do zrozumienia, że nie zamierza jej ponaglać. Była mu za to wdzięczna. Chciała być absolutnie pewna swoich uczuć... i jego.

Gdy któregoś popołudnia wróciła do domu, w jej mieszkaniu dzwonił telefon. Podniósłszy słuchawkę, usłyszała głos Jacka.

- Fran? W następną niedzielę wyjeżdżam na dwa tygodnie do ciotki Christiny. Czy mogłabyś przyjść do nas w sobotę pożegnać się?

- No wiesz, ja...

- Och, Fran, proszę! Najpierw byśmy popływali, a potem zrobilibyśmy sobie jeszcze jeden piknik, z babcią. Tato tym razem nie może - dodał. - Pytałem go, ale ma dyżur. Czy Bruno powiedział tak z jej powodu?

- No dobrze, Jack - zgodziła się. - O której?

Umówili się na dziesiątą i Jack się rozłączył. Coraz bardziej przywiązywała się do tego chłopca i nie umiała nad tym zapanować. Ale za nic w świecie nie chciała dać podstaw do podejrzeń, że próbuje zająć miejsce jego matki. Czy tego właśnie chciał od niej Bruno? Czy odpowiadała mu w roli matki i żony jako nowa wersja Lindsay? Wzdrygnęła się na samą myśl. Może wcale nie zdobyła serca Bruna, tylko je ogrzała. Nikt w końcu nie zachwyca się kopia tak samo jak oryginałem.

Sobota okazała się pochmurna i parna.

Wobec groźnego wyglądu nieba zrezygnowali z pływania, wszyscy troje stłoczyli się w clio i wyruszyli do Gorley Wood, jednego z najpiękniejszych zakątków w okolicy, z malowniczymi szafasami i drewnianymi ławami piknikowymi.

Na miejscu byli już jacyś ludzie z dziećmi, które bawiły się nad strumieniem. Jack szybko zapoznał się z chłopcami, dzięki czemu Rosa i Frances miały czas spokojnie porozmawiać.

- Jack czuje się doskonale - zachwyciła się Rosa.

- Kiedy ostatnio miał atak? - zapytała Frances.

- O, dawno. Chyba w czasie mojej nieobecności. Tak, to był ten okropny tydzień, kiedy znalazłaś go w Cerne Carey.

- Czy powiedział ci w końcu, czemu wtedy uciekł ze szkoły?

- Nie - westchnęła Rosa. - Ale nie trzeba się zbytnio głowić, żeby zgadnąć. Pewnie poprzedniego wieczora słyszał moją rozmowę z Brunem o Harrington Hall. Jeszcze nie spał. Bruno myślał, że siedzi przy komputerze, ale mnie się zdaje, że raczej podsłuchiwał na podeście.

- O Boże, Rosa - jęknęła Frances. - On się naprawdę panicznie boi Harrington Hall.

- Nie mogłabyś porozmawiać o tym z Brunem? - spytała ostrożnie Rosa. - Ciebie by wysłuchał. Moje uwagi tylko pogarszają sprawę.

- Cóż, nawet próbowałam. Ale prawdę mówiąc, nie mam żadnych podstaw, żeby się wtrącać.

- On cię bardzo wysoko ceni - uśmiechnęła się Rosa. - Jestem pewna, że każdą twoją opinię traktuje poważnie.

Frances nie odpowiedziała. Rosa przykryła jej rękę dłonią.

- Jesteś w nim zakochana, prawda, moja miła?

W pierwszej chwili chciała zaprzeczyć, ale nagle uznała, że to głupie. Pewnie ma to wypisane na twarzy. Może Rosa wie od początku?

- Tak... chyba tak - przyznała w końcu z głębokim westchnieniem. - Jak myślisz, czy jestem zupełną idiotką?

Widząc, jak zmieniła się twarz Rosy, poczuła ciężar na sercu. Przecież Lindsay była jej córką!

- Frances, myślę, że musimy o czymś porozmawiać. Powinnaś wiedzieć, że...

Ale przerwał im Jack, który właśnie nadbiegł z innym chłopcem.

Częstując ich ciastem, Rosa mrugnęła do Frances.

- Pogadamy później.

Lecz „później” nie nastąpiło. Dzień minął tak szybko, że nie było okazji wrócić do tematu. Gdy Jack ścisnął ją na pożegnanie, obiecując przysłać kartkę z Brighton, cała sprawa wyleciała jej z głowy.

W poniedziałek Bruno cicho wszedł do gabinetu, gdzie siedziała przeglądając dokumentację pacjentów, i zamknął za sobą drzwi.

- Jesteś bardzo zajęta?

Jak zwykle, gdy stał przy niej, poczuła się dziwnie niezdarna i spięta.

- Nie, nie bardzo. Czy Jack dojechał bez problemu?

- Tak, dzięki. Świetnie się bawił na pikniku. Dziękuję, że ich zabrałaś.

Szczerze mówiąc, sądzę, że chętnie by nigdzie nie wyjeżdżał. - Dłuższą chwilę przyglądał jej się w milczeniu, po czym przysiadł na brzegu biurka. - Myślałaś choć trochę o nas, Frances?

Wiedziała, że ją o to spyta.

- Tak...

- I?

- Zgadza się... Musimy porozmawiać.

- Wobec tego spotkajmy się dzisiaj. Nie mam dyżuru. Możemy iść na kolację do...

- Mam lepszy pomysł - przerwała mu łagodnym tonem. - Zapraszam cię na kolację do siebie.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? - spytał cicho.

- Jestem pewna.

W głębi serca chyba od początku wiedziała, że zostaną kochankami. Opierała się ze wszystkich sił, ale teraz walka była skończona.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wciąż trwali w miłosnym uścisku, odnajdując się chciwie po jakże długim oczekiwaniu. Jak przez mgłę dotarł do niej jego szept:

- Kocham cię, Frances. Pokochałem cię od pierwszej chwili.

- Och, kochany. - Delikatnie objęła palcami jego twarz. - Nie mów tego, jeśli nie jesteś pewien.

- Jeśli nie jestem pewien? Czyż nie czekałem wystarczająco długo, żeby ci to powiedzieć?

- Zrozum mnie, proszę - rzekła błagalnie. - Chcę być kochana dla samej siebie...

- Do diabła, Frances - sarknął ze złością. - Jak mam cię przekonać?

Czy może mu wierzyć? Czy się odważy? W tej chwili zanadto go pragnęła, by podawać jego słowa w wątpliwość. Więc nie chcąc słyszeć nic więcej, zamknęła mu usta namiętym pocałunkiem. Jej imię zabrzmiało westchnieniem.

Ona, ledwo rozumiejąc, co mówi, odpowiadała mu najczulszym szepem. Jego ciało było tak piękne, tak cudownie zbudowane, tak proporcjonalne. Jego gorliwość w dawaniu szczęścia, siła, witalność i zręczność prowadziły ją, o krok za nim, prosto ku rozkoszy.

- Moja droga - szepnął. - Zaufaj mi.

- Proszę... - błagała, wplatając palce w jego włosy.

Odsunął się na moment; uświadomiła sobie, że pomyślał także o ich bezpieczeństwie, podczas gdy ona, egoistycznie pogrążona w stanie błogości, zapomniała.

Wkrótce żadne słowa nie mogły już wyrazić tego, co czuli. Kochali się tak, jakby byli sobie przeznaczeni od zawsze. Nie było przeszłości ani przyszłości. Nie było ducha Lindsay. Nic nie stało między nimi, niczego nie było poza nimi... przynajmniej teraz.

Przez szyby sączył się blady świt. Frances westchnęła, całkowicie wyczerpana, tuląc się do Bruna.

- O której musisz iść? - zapytała.
- Nie wracam do domu - szepnął, ocierając się brodą o jej włosy.
- Czy Rosa nie będzie się niepokoić?
- Jestem już dużym chłopcem - zaśmiał się cicho.

Ona też się roześmiała. Z głębokim zadowoleniem przyglądała się każdej linii jego ciała. Cień zarostu, który zdążył się pojawić na jego policzkach, nadawał mu wygląd pirata.

- A golenie, świeże ubranie?
- Mam wszystko w torbie pod schodami.
- Czemu ją tam zostawiłeś?
- Czyżbyś zapomniała, że byłem zaproszony tylko na kolację? Jak byś zareagowała, gdybym wczoraj tu wszedł i postawił ci ją przed nosem?
- Zapewne wykopałabym cię z powrotem za drzwi.
- Kobieta bez serca! - Pocałował ją w czubek nosa. - Ale tak łatwo się mnie nie pozbędziesz!

Dźwignęła się na łokciu.

- To ma być groźba czy obietnica?
- Obietnica, moja droga - odparł, wodząc palcem po jej policzku. - Bo ja cię kocham, Frances. Mówię absolutnie poważnie. Chcę, żebyśmy się pobrali.
- Nie żartuj, Bruno. - Spojrzała na niego z niedowierzaniem.
- Nie żartuję. Już ci to przecież mówiłem. Chcę, żebyś została moją żoną. Chcę przeżyć z tobą resztę życia. Powiedz tylko, że się zgadzasz.

- Bruno... - Spróbowała się podnieść.
- Kochasz mnie, najdroższa?

W jego oczach, głosie była taka determinacja, że z rezygnacją skinęła głową.

- Tak, kocham cię. Kocham z całego serca.

Przygarnął ją mocno i poczuła, jak jego pierś unosi westchnienie ulgi.

- Więc powiedz, że się zgadzasz. Tylko to jest ważne. Do diabła, wiem, że nie jestem jakąś nadzwyczajną okazją: trzydzieści sześć lat, dziesięcioletni syn i zwariowana praca. Ale obiecuję, że jeśli tylko pozwolisz mi spróbować, będziesz ze mną szczęśliwa... bardzo szczęśliwa.

Tak chciała mu wierzyć. Ale czy on sam do końca zna swoje uczucia? Czy duchy przeszłości odeszły na dobre, czy też tylko chwilowo odsunęła je w cień fizyczna rozkosz?

- Czy możemy porozmawiać o tym później, Bruno?

- Na przykład kiedy?

- Na przykład kiedy włożę coś na siebie i będę mogła się spokojnie zastanowić, bo ty nie będziesz się bez przerwy koło mnie wiercić.

- Na tym właśnie miała polegać moja sztuczka; mój wielki plan. - Błysnął zębami w uśmiechu. - Postawić cię w niekorzystnej sytuacji i skłonić, żebyś powiedziała „tak”.

- Bardzo ci dziękuję za propozycję. - Położyła mu palec na ustach. - I ani Jack, ani praca nie stanowią żadnej przeszkody. Uwielbiam jedno i drugie. Ale małżeństwo? To poważna sprawa.

- Wiem. Wszystko wiem, uwierz mi. Boże, Frances, po tym, co zaszło między mną a Lindsay...

Nagle jej oczy wezbrały łzami. Czyż on tego nie widzi? Nie rozumie, że właśnie Lindsay jest powodem, dla którego ona nie może za niego wyjść?

- Kochanie, nie odwracaj się ode mnie. Co się stało?

Nawet jeśli mu się zdaje, że dokonał już rozrachunku z nieżyjącą żoną, to przecież na każdym kroku coś będzie jej przypominać, że zajmuje nie swoje miejsce, że wypełnia rolę kobiety, która przedwcześnie odeszła.

Och, jakże często myślała o Lindsay! Znała scenariusz na pamięć. Wyobrażała sobie, jak kocha się z Brunem w podwójnym łóżku, w którym spał z Lindsay. Wyobrażała sobie, jak stara się zżyć z osieroconym dzieckiem i

dzielną matką tamtej, którzy może i lubią ją jako przyjaciółkę, ale kto wie, czy nie poczują niechęci do intruza we własnym domu.

- Czy to o niego chodzi? - spytał nagle.

- O kogo? O Grega? Oczywiście, że nie.

- Nie zamierzam cię wypytywać o przeszłość, Frances. Ale jeśli czujesz coś jeszcze do tego faceta, to chcę wiedzieć, na czym stoję.

W jego wzroku dostrzegła ten sam wyraz zazdrości, który zapewne przez ostatnie tygodnie gościł i w jej oczach. Gdyby umiała mu wyjaśnić, że jej związek z Gregiem nigdy nawet w przybliżeniu nie przypominał tego, co ich łączyło! Greg był jej jedynym mężczyzną, ale ze względu na jego pracę żyli oddzielnie, a kiedy się spotykali, nigdy nie było między nimi takiej fascynacji. On zawsze myślami był przy następnym zadaniu. Bardziej żył pracą niż ich miłością.

- Muszę to wiedzieć, Frances.

- Kochanie! - Zarzuciła mu ręce na szyję. - Greg nic dla mnie nie znaczy. Owszem, kiedyś mnie zranił, i to bardzo. Ale to naprawdę minęło. Przysięgam.

- W takim razie chodzi o Lindsay - rzekł bezbarwnym głosem.

- Nic na to nie poradzę - szepnęła, wstydząc się za siebie.

- Gdyby nie to, że jestem do niej tak bardzo podobna... Gdyby ona cię aż tak nie skrzywdziła... Gdyby...

- Ty masz obsesję na jej punkcie, Frances - rzucił ze złością.

- Co jeszcze mam zrobić, żeby cię przekonać?

Ukryła głowę na jego piersi. Objął ją delikatnie, ale wyczuwała wrzący w nim gniew.

- Pocałuj mnie! - rozkazał i ujął jej twarz w dłoń.

Zareagowała na jego zachłanny pocałunek z nie mniejszą namiętnością.

Nigdy go bardziej nie pragnęła, nie potrzebowała: teraz i tutaj, w jej łóżku, gdzie byli bezpieczni.

O szóstej, akurat gdy zapadli w sen, zadzwonił budzik. Frances usłyszała go pierwsza. Odsunęła się od Bruna, starając się uciszyć dzwonek. Wtedy on pochwycił ją w talii i przyciągnął do siebie.

- Zostań...

- Nie można - szepnęła, całując go i rozkoszując się jego podnieceniem. - A śniadanie, a prysznic?...

- Chcę tylko ciebie. - Ogarnął pasma włosów z jej sennej twarzy i oddał jej pocałunek.

- A ja ciebie.

- Więc zostań.

- Przecież wiesz, że to niemożliwe - westchnęła. - Jeśli spóźnimy się oboje, plotkom nie będzie końca. I twój samochód stoi pod moim domem.

- Mam rozumieć, że chcesz, abym go stąd zabrał, zanim sąsiedzi zobaczą?

- Chcę, żebyś zdążył na czas do pracy.

- Tak, żeby nikt niczego nie podejrzewał.

- Można to tak ująć.

- Ale mnie nic nie obchodzi cudze podejrzania. Właściwie to jeszcze inaczej: chciałbym, żeby wszyscy się dowiedzieli. Chciałbym, żeby cały świat...

- Przestań, Bruno. - Wyplątała się ze zmiętej pościeli i owinęła szlafrokiem. - Nie zaczynajmy od nowa.

Z głębokim westchnieniem przewrócił się na plecy. Jakże ją kusilo, żeby wśliznąć się pod kołdrę obok niego. Był najcudowniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała, i ideałem kochanka.

- Wstawaj, leniuchu. Idź pierwszy do łazienki, a ja przygotuję śniadanie.

- Czy ktoś ci już mówił, że rano wyglądasz jak anioł?

- Jesteś niemożliwy.

- A ty jesteś piękna, Frances.

Pod wpływem jego spojrzenia zadrżała od stóp do głów. Nic dziwnego, że w nocy pozbyła się wszelkich zahamowań. Chętnie przeżyłaby to jeszcze raz... ale odparła pokusę.

- Dla ciebie dwa jajka?

Była to jedyna rozsądna wypowiedź, jaka jej przyszła do głowy.

- Nie zmieniaj tematu. - Błysnął zębami w uśmiechu, a ona rzuciła w niego poduszką.

- Do zobaczenia przy śniadaniu!

W kuchni odetchnęła głęboko i zręcznie wybiła na patelnię dwa duże jajka. Ku jej uldze po chwili z łazienki dobiegły ją odgłosy krzątania i beztrudnie pogwizdywanie.

Jak dobrze jest mieć go przy sobie! Niemal za dobrze. Jak miłość może być tak cudowna, a zarazem tak bolesna?

Następny tydzień był cudowny. Bruno nie musiał się spieszyć do domu i miała go tylko dla siebie. Utrzymywanie ich związku w sekrecie miało w sobie coś grzesznie podniecającego. Był to jakby tajemny spisek ich dwojga przeciwko całemu światu: światu pracy, pośpiechu i dyscypliny. Upajali się ukradkowymi wypadami do jej mieszkania w porze lunchu. Nie musieli się nawet martwić, że Rosa jest osamotniona, ponieważ Rosa, kobieta strzegawcza, znów wybrała się w odwiedziny do przyjaciółki.

Dwa razy dzwonił Jack. Frances nie mówiła mu, że jest z nią jego ojciec. Chciała, ale Bruno milcząco pokręcił głową.

- Przecież nie musiałby od razu pomyśleć, że coś między nami zaszło - buntowała się po skończonej rozmowie.

- Ale na pewno by tego chciał. - Przypatrzył jej się badawczo. - Przecież chyba wiesz, że Jack cię uwielbia.

Westchnęła, więc obronnym gestem uniósł rękę.

- Dobrze, jeśli nie chcesz, nie będziemy o tym mówić. A może ten weekend spędziłabyś u mnie? Jack nie byłby zdziwiony, gdyby cię tam zastał. I moglibyśmy pływać... leniuchować całe dwa dni.

- A co z przychodnią w sobotę? - spytała zdumiona.

- Tristan posiedzi.

- Prosiłeś go?

Kiwnął głową i przytulił ją.

- Jasne. Myślałaś, że będę tkwił w pracy w ten jeden jedyny weekend, kiedy mamy dom dla siebie? W tej sprawie nie masz już nic do powiedzenia, Frances. Przychodzisz w piątek wieczorem i zostajesz do poniedziałku rano. Koniec, kropka.

- Tyran! - burknęła, choć nie mogła powstrzymać uśmiechu.

Pokiwał głową.

- Z tobą nie można inaczej.

W piątek spakowała torbę i czując się niezwykle przebiegła, wstawiła ją do bagażnika. Była podniecona, ale i zdenerwowana. Gdzieś w jej świadomości ciągle tkwiło przekonanie, że dom Quillanów to terytorium Lindsay. Miała dziwaczne uczucie, że będzie to coś w rodzaju starcia na boisku przeciwnika. Fakt, że Lindsay nie żyje, nie miał właściwie żadnego znaczenia. Nie potrafiła zapanować nad sobą; nadal paliła ją zazdrość. Może nawet silniejsza, niż gdyby jej obiektem była żywa kobieta.

- Frances! - zawołała ją Gill, gdy weszła do przychodni. - Zaczekaj! - Wybiegła z rejestracji i wcisnęła jej w rękę kopertę. - Doktor Quillan prosił, żebym ci to przekazała. Miał pilne wezwanie do tego pacjenta... jakże on się nazywa, ten, który miał koronarografię?

- Gabriel Bally? - Frances zmarszczyła brwi.

- W nocy miał zawał.

- W szpitalu? - Frances była wstrząśnięta.

- Widocznie. W każdym razie doktor Quillan zaraz wyszedł. Prosił, żebym ci o tym powiedziała i oddała tę kopertę.

- Dzięki, Gill. Masz dla mnie jakąś wizytę?

- Tylko jedną. Madjur Rasti.

Frances poczuła ucisk w żołądku. Wiedziała! To właśnie taki dzień! Łudziła się, że dręczące ją napięcie ma wyłącznie podłoże osobiste, ale nieraz zdarzało jej się przeczuwać instynktownie, że dzień będzie koszmarny. I dziś właśnie jej przeczucia się sprawdzały.

Jeszcze raz podziękowała Gill, wzięła swoje rzeczy i ruszyła w drogę, modląc się w duchu, żeby w przypadku Madjur nie miała racji.

W samochodzie otworzyła kopertę i przebiegła oczami liścik skreślony wyraźnym pismem Bruna:

„Tęskniłem za tobą całą noc. Pamiętaj, że po pracy przyjeżdżasz prosto do mnie. Kocham cię. B.”

Uśmiechnęła się i złożyła kartkę. Tej nocy miał dyżur. Ona też za nim tęskniła. Łóżko bez niego wydawało się jej dziwnie puste. Uprzytomniła sobie, że odtąd tak już będzie zawsze. Teraz każdy najmniejszy drobiazg w mieszkaniu przypominał jej o nim.

Zastała Madjur w znajomej pozycji na kanapie. Od ostatniego spotkania strasznie schudła.

- Jak pani się czuje?

- Miałam operację kolana. Teraz mówią mi, że powinnam mieć protezę stawu biodrowego i barkowego.

- I co pani na to? Madjur potrząsnęła głową.

- Nie mam na to specjalnej ochoty. Powiem szczerze: postanowiłam nie zgadzać się na operację.

Frances zerknęła do karty. Próbowano już brufenu i naprosynu. Bruno brał też pod uwagę D-penicylaminę, ale na efekt trzeba by czekać miesiące i nie można wykluczyć działań ubocznych. Biorąc wszystko pod uwagę, najlepszym

rozwiązaniem byłoby wszczepienie protez, ale z wyrazu twarzy Madjur łatwo było wyczytać, że nakłonić ją do powrotu do szpitala będzie trudno, jeśli w ogóle się da.

Frances uśmiechnęła się i podjęła jeszcze jedną próbę.

- Wiem, że pani jest bardzo dzielna, Madjur. Ale operacja mogłaby naprawdę zmienić pani sytuację. Czy nie warto skorzystać z takiej okazji?

Ale ona, znużona, przymknęła oczy.

- Nie, mam już dosyć. Zresztą oni przecież niczego nie gwarantują. Nie chcę wracać do szpitala. - I nagle uniosła powieki. - Czy napisała pani wtedy ten list?

- A nie dostała pani odpowiedzi?

- Ani słowa. Właściwie wcale się nie spodziewałam. Tonący brzytwy się chwyta i tyle. Ale dziękuję pani.

Czując się zupełnie bezradna, Frances pożegnała się i wyszła. Ale przez resztę dnia nie mogła przestać myśleć o Madjur.

Po powrocie do przychodni natknęła się na Bruna. Uśmiechnął się do niej, przechodząc przez zatłoczoną poczekalnię. Odpowiedziała uśmiechem, świadoma, że koleżanki aż nadto chętnie nadadzą odpowiednie znaczenie nawet jednemu spojrzeniu.

Parę minut później celowo się z nią zderzył. Nie mogła powstrzymać śmiechu.

- Wariat! - szepnęła, zbierając papiery, które wytrącił jej z rąk.

- Dziś przyjeżdżasz do mnie, pamiętaj! - odszepnął, omiatając korytarz czujnym wzrokiem. - A teraz chodź, muszę z tobą porozmawiać.

- Nie jesteś zajęty?

- Właśnie jestem. Proszę tędy, doktor Quillan za chwilę panią przyjmie.

Zachichotała i podążyła za nim, nie śmiejąc spojrzeć w stronę rejestracji.

Zamknawszy gabinet, wziął ją w ramiona i przycisnął do drzwi, a potem zabrał jej papiery, rzucił je na biurko i pocałował ją tak gwałtownie, że ledwo złapała oddech.

- Panie doktorze! Cóż to za terapia?

- Naturalna. Według mnie nadzwyczaj skuteczna... Spojrzała mu w oczy i oparła głowę o drzwi.

- W końcu nas przyłapią, wiesz?

- Mam nadzieję. - Zrobił podstępny minę. - I wtedy będziesz musiała ratować mój honor.

- Więc taki jest twój niegodziwy plan? - Odepchnęła go, podeszła do biurka i usiadła na krześle.

- Mam w głowie całe mnóstwo niegodziwych planów. Na przykład...

- Chodź tu, siadaj i zachowuj się przyzwoicie - przerwała.

- No to... do pracy. - Poprawił przekrzywiony krawat. - Byłem u Gabriela. Wiesz, że miał zawał?

Frances przytaknęła z westchnieniem.

- Jak się czuje?

- Jest na intensywnej terapii i zostanie tam jeszcze dobie. Na razie nie ma zaburzeń rytmu, a ból został opanowany. Dostaje leki przeciwkrzepliwe, ale koronarografia wykazała, że trzeba myśleć o leczeniu chirurgicznym, najprawdopodobniej o bypassach. Problem polega na tym, że on nie bardzo chce się zgodzić... Nie wiedzieć czemu nie chce o tym w ogóle rozmawiać. Bez jego współpracy nic nie zdołamy.

Frances poprawiła się na krześle. Dobrze wiedziała, dlaczego Gabriel Bally nie chce się leczyć! Otworzyła usta i zamknęła je na powrót.

- Frances? - Bruno przyglądał jej się uważnie. - Chciałaś coś powiedzieć?

- Sama nie wiem... Ale chyba powinnam. To może mieć znaczenie.

- Jeśli to ma jakikolwiek związek ze sprawą, to powiedz.

- Mogę mówić tylko o tym, co widziałam - zaczęła z ociąganiem. - Myślę, że Gabriel nie chce zostawiać żony samej. Operacja, potem rekonwalescencja... to potrwa. A pod jego nieobecność...

- Mów dalej.

- Któregoś dnia widziałam Petrę Bally. Był z nią mężczyzna... znacznie młodszy od jej męża. - Opisała scenę w pubie, starając się zachować obiektywizm. - Przypuszczam, że Gabriel boi się, że pod jego nieobecność romans rozkwitnie, albo że perspektywa długiej opieki nad nim załamie jego żonę.

Ku jej zaskoczeniu Bruno wyglądał tak, jakby ta historia dotknęła go osobiście. Jego usta zacisnęły się gniewnie w wąską, prostą linię, a oczy, zwykle tak ciepłe, stały się lodowate.

- Rozumiem - mruknął pod nosem. - Ależ ja jestem głupi! Powinienem był się domyślić czegoś w tym rodzaju. A ty wiedziałaś o tym od początku?

Frances poczuła się dotknięta jego tonem.

- Owszem, ale nie widziałam powodu, żeby rozsiewać plotki. Poza tym mogłeś pomyśleć, że próbuję się odegrać na Petrze Bally, bo przecież złożyła na mnie skargę.

Patrzył na nią dłuższą chwilę, po czym wycedził przez zaciśnięte zęby:

- No więc pomyliłaś się. Powinnaś była mi powiedzieć. Ale rozumiem, że nie widziałaś problemu. Co z tego, że jakaś kobieta pozwoliła sobie na mały skok w bok? Gdyby chodziło o męża, nie wątpię, że zaraz byś mnie poinformowała.

Frances nie wierzyła własnym uszom i nie mogła pojąć tej nagłej zmiany sytuacji. Zaledwie kilka minut temu śmiali się i żartowali czule, a teraz on oskarża ją o coś tak absurdalnego i niesprawiedliwego.

- Naprawdę sądzisz, że mogłabym pobłaźliwie patrzeć na zdradę, obojętnie z czyjej strony? - Zastanawiała się, czy rozmawia z tym samym mężczyzną, który przed chwilą tak namiętnie ją całował.

- A nie? - Wzrok miał tak zimny, że przeszył ją dreszcz.

- Oczywiście, że nie!

- Gabriel Bally jest człowiekiem chorym. Ona mogłaby być jego córką.

Jest atrakcyjna, inteligentna, a przy tym oboje wiemy, że w ich małżeństwie istnieje pewien problem, którego czas raczej nie rozwiąże. Czyż nie są to wystarczające powody, by kobieta szukała szczęścia gdzie indziej?

Frances wstała. Policzki płonęły jej z gniewu.

- O to powinienes zapytać Petrę Bally. Moje zapatrywania na małżeństwo już znasz. Według mnie ludzie przysięgają sobie raz na zawsze: na dobre i złe, zdrowie i chorobę, choć może w dzisiejszych czasach brzmi to jak wyświechtany slogan. Natomiast nie mogę odpowiadać za postępowanie żony twojego pacjenta, nie mam więc zamiaru poddawać się dalszemu przesłuchaniu w jej sprawie. Czy ma pan do mnie coś jeszcze, panie doktorze?

Ostatnie słowa wypowiedziała zdławionym głosem. Niewiele widziała przez łzy, które napłynęły jej do oczu. Jakoś jednak zdołała je powstrzymać. Wyszła z gabinetu, głośno zamykając za sobą drzwi. Omal nie przewróciła przechodzącej korytarzem Gill. Odprowadzana zdziwionym wzrokiem rejestratorki, potykając się, dobiegła do toalety.

Przetarła oczy. Bardziej teraz zła niż rozzalona, przyłożyła mokre dłonie do piekących policzków. Odetchnęła głęboko. Jak on mógł powiedzieć jej coś tak podłego? Dlaczego? - pytała samą siebie. I nagle zrozumiała.

Bo porównywał ją Lindsay.

To Lindsay go zdradziła, a on wciąż cierpiał z powodu tej zdrady. A więc to prawda, że ona nadal zajmuje ważne miejsce w jego życiu. I to jak ważne!

Po dziesięciu minutach zdołała uspokoić się na tyle, by wyjść z toalety. Zabrała z przychodni swoje rzeczy i wróciła do domu. Starła się jechać jak najostrożniej, lecz pod maską opanowania wciąż szalały emocje.

Przed domem wyciągnęła z bagażnika przygotowany na weekend bagaż. A jednak piątek okazał się feralny!

Powoli wchodziła po schodach. Nogi się pod nią uginały, a torba wydawała niezwykle ciężka. Gdy otworzyła drzwi, natychmiast rzucił jej się w oczy dawno pożyczony sweter, który w końcu wyjęła z bagażnika. Wisiał tam gdzie zawsze, na krześle. Często pod nieobecność Bruna zarzucała go sobie na plecy i pocieszała się jego cytrusowym zapachem.

Wpatrzona w sweter, rzuciła swoje rzeczy i opadła na kanapę. Potem ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Telefon dzwonił natarczywie, tak jak się spodziewała.

Nie podniosła jednak słuchawki. Rozpakowując się, niemal oczekiwała pukania do drzwi. Ale nadaremnie.

Następnego dnia wczesnym rankiem pojechała do Cerne Carey. Wypiła kawę w małej ruchliwej knajpce, zrobiła zakupy i włóczyła się po mieście, nie umiejąc znaleźć sobie lepszego zajęcia i nie chcąc też wracać do domu.

To miał być ten wspaniały weekend. Jej myśli powędrowały do różowego domu w gęstwinie zieleni. Bruno jest tam teraz sam... Odczuła przelotną pokusę, ale ją odparła. Przecież to on oskarżył ją tak niesprawiedliwie.

Jak on mógł? I to tak nagle... A przecież zaledwie chwilę wcześniej...

Przestań, powiedziała sobie. Daj spokój, Frances, jedź do domu. Nie będziesz tu przecież tkwić cały czas.

Ale zanim dotarła na Bow Lane, była już prawie siódma. Całe tylne siedzenie samochodu zajmowały sadzonki. To był jej pomysł na wypełnienie tej beznadziejnie pustej soboty.

Przed jej domem stał jakiś samochód, lśniący czerwony kabriolet. Mrucząc pod nosem coś nieprzyjaznego, z trudem zaparkowała obok niego.

Obładowana dwiema torbami i sadzonkami z kwiaciarni, próbowała otworzyć drzwi.

- No, no, nie wiedziałem, że interesujesz się ogrodnictwem.

Na dźwięk tego głosu doznała szoku. Podniosła zdumiony wzrok na jego właściciela i zamarła bez ruchu.

- Wyglądasz fantastycznie, Fran.

Przełknęła ślinę i zamrugła powiekami, jakby chcąc się przekonać, czy to nie zjawa.

- Greg!

Wysoka postać nachyliła się, by ją pocałować: prosto w usta. Odwróciła głowę, czując jednocześnie, że czyjaś ręka obejmuje ją w talii.

- Co ty tu robisz?

- Szukam cię, oczywiście. Nieuchwytna z ciebie istota. Jestem tu dziś już trzeci raz.

Frances przyglądała się ze zdumieniem szerokim barom i krótkim, jasnym włosom mężczyzny, który kiedyś zajmował tak ważne miejsce w jej życiu. Z trudem mieściło jej się to wszystko w głowie.

- Ale... jak mnie tu znalazłeś?

- Opowiem ci, jeśli mnie wpuścisz.

Uprzytomniła sobie, że wciąż jeszcze nie otworzyła drzwi. Drżącą ręką trafiła do zamka. Greg wziął od niej pakunki i razem weszli na górę.

Był w jej mieszkaniu w Londynie. Nowy adres podała mu gospodyni.

- Przecież miała go nikomu nie podawać! - Frances odłożyła sprawunki i zdumiona przyglądała się temu zupełnie obcemu już mężczyźnie, który rozsiadł się na kanapie.

- Przecież widziała, że to ja - oświadczył chełpliwym tonem. - Byliśmy ze sobą dwa lata, Frances. Nie pamiętasz? - Roześmiał się.

Jej zbytnio to nie bawiło.

- Owszem, pamiętam.

Rzeczywiście, pamiętała długie miesiące bólu bez choćby jednego listu z Zatoki Perskiej.

- Napijesz się kawy? - spytała uprzejmie. - Nie mam niestety nic mocniejszego.

- Kawa i ty... Świetnie! - Posłał jej uśmiech, od którego kiedyś serce zaczynało jej bić szybciej. Wyszła do kuchni, mając nadzieję, że z jej twarzy nie można wyczytać niesmaku. Gdy robiła kawę, w pokoju zadzwonił telefon. Zanim zdążyła odebrać, Greg podniósł słuchawkę.

- Ktoś się rozłączył - powiedział, biorąc od niej kubek.

Zaczerwieniła się, widząc, że opuścił wzrok na jej piersi pod białą bawełnianą bluzką. Skrzyżowała przed sobą ręce.

- Czy byłbyś łaskaw mi wyjaśnić, po co przyjechałeś? Odstawił kubek i odwrócił się, by wyrzucić na ulicę.

- Sympatyczne miejsce. Mieszkasz tu sama? Nie do wiary! On ją przesłuchuje!

- O co ci chodzi, Greg? Zwrócił na nią wzrok.

- To chyba oczywiste. - Przymrużył jasnoniebieskie oczy. - Wyglądasz jeszcze piękniej niż dawniej, Fran.

- Greg, jestem zajęta...

- Czym?

- To moja sprawa.

- Mam dziwne wrażenie, że nie jesteś zbyt przyjaźnie nastawiona.

Jej oczy pociemniały z gniewu.

- Zostawiłeś mnie bez cienia skrupułów, Greg. Wybrałeś wojsko, a mnie rzuciłeś. Dlaczego miałabym odnosić się do ciebie przyjaźnie?

Roześmiał się i ruszył ku niej.

- Jeszcze się gniewasz? - Ujął ją mocno za ramiona. - Możemy to w każdej chwili naprawić. Idę do cywila. Mam kumpla, który chce mnie zatrudnić w swojej firmie. Potrzebuje akurat kogoś z moim wykształceniem. To dobra propozycja. Moglibyśmy...

- Nie interesuje mnie, co chcesz zrobić ze swoim życiem, Greg. Na to już za późno. O wiele za późno. Puść mnie.

- Och, Fran... Nie dąsaj się!

Przyciągnął ją i pochylił głowę. Odwróciła się w samą porę.

- Przestań, Greg. Puszczaj!

- Fran... chodź...

- Proponuję, żeby pan zastosował się do życzenia tej pani i ją puścił - odezwał się głęboki głos od drzwi.

Ręce Grega opadły.

- Wszystko w porządku, Frances? - spytał Bruno.

- Tak - skinęła głową. - Greg... właśnie wychodzi.

Bruno podszedł i stanął tuż obok niej.

Wrogość obu mężczyzn była niemal namacalna. Widząc stanowcze spojrzenie Bruna, Greg po chwili wahania parsknął pogardliwie i opuścił pokój. Z dołu dało się słyszeć głośnie trzaśnięcie drzwi, a zaraz potem ryk silnika.

Frances odetchnęła z ulgą i zamknęła oczy. Bruno otoczył ją ramieniem.

- Och, kochany - szepnęła, wtulona w jego pierś. - Tęskniłam za tobą.

- Dzięki Bogu. Nie byłem pewien... Kiedy tu wszedłem i zobaczyłem, jak on cię obejmuje...

- Niepotrzebnie go w ogóle wpuściłam. - Opuściła ją resztką energii. Oczy zaszły jej łzami. - Jestem głupia!

Pochylił się i pocałował ją czule.

- Nie, to ja jestem głupi - szepnął skruszony. - To, co ci wczoraj powiedziałem... było niewybaczalne.

- Och, kochany!

- Boże, Frances - szepnął. - Straciliśmy tyle czasu...

I zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, porwał ją na ręce i zaniósł do sypialni.

Resztę weekendu spędzili w łóżku. W jej łóżku. Nie dlatego, że Frances chciała uniknąć wizyty w domu Bruna, ale dlatego, że było im zbyt dobrze, żeby chcieć się przenieść. Całe szczęście, że zrobiła zakupy. Co prawda niewiele czasu spędzili przy stole. Większość zapasów zjedli w łóżku albo na podłodze w pokoju dziennym, gdzie też chętnie się wylegiwali, jak się wyraził Bruno, „robiąc dzieci”.

- Chyba to nam nie grozi, Bruno - zwróciła mu uwagę. - Przecież się zabezpieczasz?

Pocałował ją w czubek głowy.

- No nie, nie mówiłem dosłownie. Ale kiedyś będziemy musieli pomyśleć i o dzieciach.

- Dzieciach?

- Na pewno będziemy chcieli mieć więcej niż jedno. Jack będzie w internacie, a zresztą jest już duży. Zawsze uważałem, że dla dziecka nie jest dobrze być jedynakiem.

- Bruno, przecież my nawet nie jesteśmy małżeństwem!

- A czyja to wina?

Wsparała się na łokciu i zajrzała mu w twarz.

- Nie spiesz się tak. Pociągnął ją ku sobie.

- A to czemu? - spytał nachmurzony. - Kochamy się. Powinniśmy się pobrać, zanim będą z tego dzieci, choć dzisiaj, zdaje się, to już niemożliwe. Na co, u diabła, czekamy? Kiedy ty wreszcie posłuchasz głosu rozsądku, Frances?

Dłonią delikatnie gładził jej plecy.

Czując jego podniecenie, westchnęła cicho. Jak łatwo byłoby teraz skapitulować: gdyby tylko mogła być go pewna.

- Chodź, ty uparta mała wiedźmo - szepnął czule. - Nie potrafię się na ciebie długo gniewać.

- Nie jestem uparta.

- Jesteś.

- Widzisz, znowu się nie zgadzamy.

- I zaraz się pogodzimy. - Przygarnął ją mocniej. - O, tak... Gdy potem bez tchu leżała w jego ramionach, miłość wypełniała ją całą. A jednak wątpliwości pozostały.

Poniedziałek był najgorętszym dniem tego roku.

Jack dzwonił do ojca z wiadomością, że ciocia Christina i wujek Nigel zabierają go na żagle. Bruno był z tego wyraźnie zadowolony.

- Przynajmniej oderwie się choć na trochę od tych piekielnych maszyn. Christina chce, żeby został z nimi jeszcze tydzień.

- To świetnie - ucieszyła się Frances. - Czy Jack lubi żeglować?

- Mam wrażenie - uśmiechnął się szeroko Bruno - że o wiele bardziej chciałby być teraz w domu i jeździć z tobą na pikniki.

- Znudziłoby mu się - roześmiała się.

- Wątpię. - Zamyślił się chwilę. - Ale będzie musiał wrócić gdzieś na początku sierpnia. Mamy jeszcze do załatwienia sprawę mundurka.

- Mundurka Harrington Hall, rzecz jasna? Bruno zakrztusił się kawą.

- Chyba trochę za późno, żeby zastanawiać się nad innym!

- Niekoniecznie. - Wzruszyła ramionami. - W pobliżu Cerne Carey jest dobra szkoła bez internatu. Chodzą tam synowie niektórych pacjentów. Cieszy się doskonałą opinią...

- Czy to przypadkiem nie Rosa nabiła ci tym głowę?

- No... - Zaczerwieniła się lekko. - Rozmawialiśmy o tym, owszem.

- Frances... Jack potrzebuje szczególnej opieki. Jest nieśmiałym, zamkniętym w sobie dzieckiem, uzależnionym od komputera. Jego potrzeb nie jest w stanie zaspokoić samotny ojciec. I nie mogę też oczekiwać od Rosy, żeby raz na zawsze zrezygnowała dla nas z własnego życia. Ona też na pewno chciałaby mieć czas dla siebie. Analizowałem tę sytuację ze wszystkich stron i, do diabła, nie ma innego wyjścia.

- A jeśli wyjdę za ciebie?

Miała wrażenie, że w powietrzu między nimi przeskoczyła iskra elektryczna.

- Zgodziłabyś się dla Jacka? Zamarła. Fatalnie to zabrzmiało... Wstał, ze złością potrącając krzesło.

- Przyjmij do wiadomości, Frances, że jest to ostatni powód, który mógłbym zaakceptować. Nie szukam zastępczej matki dla Jacka. Naprawdę sądziłaś, że dlatego ci się oświadczyłem?

- Ja...ja...

Wyszedł. Usłyszała trzaśnięcie drzwi. Serce jej się rwało, żeby za nim pobiec. Ale nie zrobiła tego. Bo czyż jego pytanie nie było słuszne? Czy nie o to go właśnie podejrzewała?

- Niech to diabli! - westchnęła i ukryła twarz w dłoniach.

Frances nie widziała się z Sarah Clark od kilku tygodni. Zmiana, jaka w niej zaszła, była uderzająca.

- Proszę, proszę wejść! - zapraszała serdecznie. Mały Freddie wierzgał nóżkami na swoim leżaczku. Obok na podłodze bawiła się zabawkami jego siostra.

- To siostra Duncan, Joanno - Sarah dokonała prezentacji, po czym zaśmiała się. - To brzmi przydługo, prawda? Czy możemy nazywać panią Frances?

- Oczywiście! - Co za ulga! Atmosfera była teraz tak swobodna, a mały Freddie wyraźnie przytył.

Sarah bez pytania zaczęła opowiadać, jak Meg Fellows pomogła jej wydobyć się z depresji poporodowej. Po tygodniach otwartych rozmów sytuacja była już niemal normalna.

- Zaczęło się trzeciego dnia po porodzie. Doktor Fellows mówi, że to typowe. Ciągle płakałam, nie mogłam się opanować. Miałam takie poczucie winy! Zamiast się komuś zwierzyć, starałam się to ukryć. Nie mogłam zrobić nic gorszego. Choroba Freddiego dopełniła miary. Zdawało mi się, że mały

wymiotuje i płacze, ponieważ kocham go mniej niż Joannę; sądziłam, że chce mnie w ten sposób ukarać. Po prostu błędne koło.

Dopiero po rozmowie z kimś, kto miał za sobą podobne doświadczenie, przestałam się czuć odpowiedzialna za jego chorobę. Gdy doktor Fellows opowiedziała mi o sobie, zobaczyłam swoje problemy w innym świetle. Pomyślałam sobie, że skoro coś takiego przeżywała lekarka, to chyba nie jestem jeszcze taka ostatnia.

Frances potakiwała, wspominając, jak Bruno od razu zrozumiał, że Meg najlepiej pomoże Sarah.

- Jestem też bardzo wdzięczna doktorowi Quillanowi - dodała szybko Sarah - za to, że skontaktował mnie z doktor Fellows. On też jest wspaniały, no ale nie jest kobietą i z pewnością nie cierpiał na depresję poporodową. To fantastyczne, jak oni wszyscy potrafią ze sobą współdziałać, prawda?

Frances dręczyły wyrzuty sumienia.

- Tak, to dobry zespół, bardzo dobry. Czy mogę jeszcze w czymś pomóc? Sarah roześmiała się, wyjęła Freddiego z leżaczka i podała go Frances.

- Oceń sama!

Frances pokołysała go na rękach i oczy jej się rozszerzyły.

- Czym ty go karmisz? Befszykami?

Mała Joanna wybuchnęła śmiechem i wkrótce śmiała się cała czwórka, bo nawet Freddie przyłączył się do nich.

Tak więc sprawa znalazła szczęśliwe zakończenie, ale teraz Frances czekała wizyta u Madjur Rasti, której problemy wydawały się nierozwiązywalne.

Jakże niesprawiedliwy bywa czasem los! Dom Clarków tętnił życiem. Gdyby tak dało się choć odrobinę tej radości przenieść do tego, przed którym właśnie stała!

Temu życzeniu widać pisane było się spełnić, gdyż drzwi się otworzyły i stanęła w nich kobieta podobna do Madjur. Frances zamrugła, chcąc się upewnić, że to nie złudzenie.

- Siostra Duncan? Proszę wejść - zaprosiła ją uprzejmie dziewczyna. Była piękna. Miała błyszczące ciemne oczy i długie czarne włosy. Ubrana była w błękitno-złote sari.

- Czyżby... Serena? Dziewczyna zaśmiała się cicho.

- Tak, to ja. Dziękuję za list. To dzięki pani tu jestem.

O następny wstrząs przyprawił Frances widok Madjur. Nie leżała na kanapie, lecz siedziała w fotelu na biegunach.

- Och, dziękuję, Frances! - Madjur serdecznym gestem wyciągnęła do niej rękę. W jej oczach było. tyle szczęścia, że Frances ogarnęło wzruszenie.

- To nie do wiary, Madjur! Serena tutaj? Wszystkie trzy zaczęły się śmiać. Madjur przytaknęła.

- Opiekuje się mną cudownie już od tygodnia. Jej ojciec i dziadkowie nie zdawali sobie sprawy, jak bardzo jestem chora.

Twój list otworzył im oczy. Zadzwonili do mnie z Delhi z pytaniem, czy chcę, żeby Serena przyjechała na wakacje. Zdawało mi się, że śnię!

- To cudownie, Madjur. Tak się cieszę!

- Miałam jeszcze jedną niespodziankę - wyznała Madjur. - Serena chce zostać lekarką i ma nadzieję, że uda jej się studiować w Anglii.

- A mama skłania się ku operacji - dodała Serena. - Dużo o tym rozmawialiśmy i prawie już się zdecydowała.

- To mądra decyzja, Madjur. - Frances odetchnęła z ulgą.

Siedziała u nich znacznie dłużej, niż planowała. W końcu jednak wyszła, zamierzając jak najszybciej zdać relację Brunowi, który nic jeszcze nie wiedział. Może dobra nowina zatrze wspomnienie ich porannego rozstania.

Na parkingu było prawie pusto, został jeszcze tylko samochód Bruna i Nigela. Wbiegła do przychodni jak na skrzydłach. Ale gdy dotarła do rejestracji, zatrzymała się na widok zatroskanych twarzy koleżanek.

Gill przywołała ją gestem i szepnęła:

- Syn doktora Quillana miał wypadek. Żaglówka, którą płynął, wywróciła się gdzieś w okolicy Southampton.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Naraz otworzyły się drzwi gabinetu Bruna. W progu stanął Nigel.

- Frances, pozwól na chwileczkę.

Frances z bijącym sercem pośpieszyła do środka. Bruno właśnie wkładał marynarkę. Podbiegła do niego. Uścisnęli się spontanicznie.

- Wiesz już? Skinęła głową.

- Wszyscy się uratowali. Inna żaglówka wyłowiła ich z morza. Są w szpitalu miejskim w Southampton.

- Jedziesz tam?

- Tak. Nigel załatwi moje wizyty. Jeszcze nie dzwoniłem do Rosy. Zrobię to później, kiedy dowiem się szczegółów.

- Jadę z tobą.

- Nie mogę tego od ciebie wymagać - uśmiechnął się, muskając jej policzek.

- Ale ja nie mogę tu siedzieć i czekać. Nie zniosłabym tego.

Podróż do Southampton upłynęła w milczeniu.

Frances nie przychodziło do głowy nic, o czym w takiej chwili warto byłoby mówić.

Christinę, drobną trzydziestokilkuletnią kobietę, zastali na oddziale dziecięcym przy Jacku: dwie szczupłe postacie w szpitalnych szlafrokach

siedziały przycupnięte obok siebie na łóżku. Powitalnym uściskom nie było końca.

Kiedy emocje wreszcie opadły, Christina opowiedziała, jak wpadł na nich wycieczkowy jacht pełen wczasowiczów. Była bardzo dumna z Jacka.

- Nigel został uderzony w głowę. Musieliśmy go holować. Na szczęście wszyscy mieliśmy kapoki, ale i tak nie udałoby mi się dociągnąć Nigela do łódki bez pomocy Jacka. Był bardzo dzielny.

- A jak się czuje Nigel? - spytał Bruno, obejmując syna.

- Biedak będzie musiał poleżeć. Jest na chirurgii.

- Ja cię zaprowadzę - krzyknął Jack, zrywając się z łóżka.

- No to chodźmy. - Bruno zerknął na Frances. - Niedługo wracam.

- Cieszę się, że cię poznałam, Frances - powiedziała Christina, gdy zostały same. - Jack mówi tylko o tobie.

- Mam nadzieję, że dobrze - uśmiechnęła się Frances.

- Bardzo dobrze. Ma wielkie plany w związku z tobą i Brunem.

- Naprawdę? - Frances zaczerwieniła się. - Nie wiedziałam...

- Bardzo się ucieszyliśmy, że w życiu Bruna wreszcie ktoś się pojawił.

Odejście Lindsay strasznie go przybiło. Jestem jej siostrą i kochałam ją, ale postąpiła z nim haniebnie. Niczym sobie na to nie zasłużył.

Frances pomyślała o jego reakcji na sprawę Ballych. Nie zapomniała gorzkich słów, jakie wtedy wypowiedział. Bruno wciąż przypisuje jej cechy Lindsay. Jakież silne piętno wycisnęła na jego życiu! Czy kiedykolwiek o niej zapomni?

Ponieważ Jack miał być wypisany dopiero następnego dnia, przenocowali w hotelu w Southampton.

- Dziękuję, że przyjechałaś tu ze mną - szepnął Bruno, gdy położyli się w szerokim, obcym łóżu. Pocałował ją. - Bez ciebie czułbym się bardzo samotny. Chciałbym, żeby między nami było zawsze tak jak teraz. Zawsze.

- Ćśś. Śpij już. Jesteś zmęczony.

- Drżysz?

- Nie, nie.

- Pozwól, że cię ogrzeję.

Wziął ją w ramiona i zaczął pieścić. Zanurzył twarz w jej włosach.

- Uwielbiam twoje włosy... Przypominają mi... O Boże, jesteś taka piękna.

Nie, zapłakała bezgłośnie. Nie rań mnie tym znowu. Dlaczego muszę wyglądać jak Lindsay? To niesprawiedliwe!

Ale po chwili jego pocałunki zbudziły w niej pierwotny instykt, który przesłonił ból. Zapomniała, kim jest naprawdę i za kogo on ją bierze, wiedziała tylko, że pragnie go chociaż jeszcze ten jeden raz.

Chociaż raz.

Jak narkomanka. Jej narkotykiem jest miłość. Nie wyzdrowieje, dopóki się od niego nie uwolni. Wiedziała nawet, kiedy to się stanie. Jesienią wraca do Londynu.

Trzy tygodnie później, gdy rano weszła do przychodni, natknęła się na zmęczonego, poszarzałego na twarzy Bruna, ubranego tylko w sweter i spodnie od dresu,

- Masz wolną chwilę?

Poszli do jego gabinetu. Bruno zamknął drzwi.

- Dziś nad ranem Gabriel Bally dostał rozległego zawału. Nie byłem w stanie nic zrobić... nic. Zmarł co najmniej godzinę przed moim przyjazdem.

- Och, Bruno... Tak mi przykro. Usiadł za biurkiem i potarł dłonią twarz.

- To Petra Bally nas zaalarmowała. Prawdę mówiąc, myślała, że to samobójstwo.

- Samobójstwo?!

- Odeszła od niego tydzień temu. Kiedy powiedziała mu o swojej decyzji, zagroził, że odbierze sobie życie. Wczoraj dzwonił do niej o północy. Był pijany. Oboje z jej nowym przyjacielem przemyślivali nad tym i doszli do

wniosku, że Gabriel może zrobić jakieś głupstwo. W końcu pojechali sprawdzić, co się dzieje. Kiedy go znaleźli, sądzili, że otrul się lekami.

- Ale tak nie było?

- Nie. Jego leki leżały nietknięte. Najwyraźniej od czasu wyjścia ze szpitala nie brał niczego.

Frances opadła na krzesło.

- Nie chciał żyć bez niej.

- Nie chciał.

Zapadła cisza. Patrząc w twarz Bruna, Frances starała się odczytać jego myśli. Czy on też swego czasu nie chciał żyć bez Lindsay? Jej duch był stale między nimi. Ta obsesja ją niszczyła. Ale im więcej na ten temat myślała, tym bardziej była pewna, że ma rację.

- Czy mogę ci jakoś pomóc?

- Możesz wyjść za mnie, Frances. Boże, w tym zawodzie widzi się tyle nieszczęść, a życie jest takie cenne. Nie chcę tracić ani chwili dłużej.

Wstała. Próbowwała sobie przypomnieć, w jaki sposób zamierzała mu to powiedzieć. Ale nie musiała nic mówić. Odpowiedź miała wypisaną na twarzy.

- Na miłość boską, Frances! - Patrzył na nią z niedowierzaniem. -

Sądziłem, że to tylko kwestia czasu...

- I na pewno się zgodzę? - Głos jej się łamał. - A czy nie zastanawiałeś się, czego ja chcę? Ja, Frances Duncan! Uszczypnij mnie, Bruno! Proszę! - Wyciągnęła rękę w jego stronę. - Spójrz, jestem człowiekiem z krwi i kości. Mam swoje własne ciało, duszę, myśli, własną osobowość! Nie widzisz? - Gniew i rozpacz przyszły jej z pomocą i pozwoliły wypowiedzieć to, co tyle miesięcy skrywała.

Gniew zapłonął także na jego twarzy.

- Na Boga, Frances, czyżbyś nadal uważała, że biorę cię za Lindsay?

- Uważam, że chcesz przeżyć ze mną to, czego nie mogłeś przeżyć z Lindsay, a nie naszą wspólną przyszłość.

- Kiedy w końcu dotrze do ciebie, Frances, że ja mówię o nas? Lindsay nie ma tu nic do rzeczy!

- Nie wierzę. - Westchnęła ciężko. - Chciałabym ci uwierzyć, ale po prostu nie mogę.

Jego twarz stężała.

- W takim razie chyba rzeczywiście nie ma dla nas większej nadziei, prawda?

- Och, Bruno... sam przecież powiedziałeś, że kiedy mnie pierwszy raz zobaczyłeś, pomyślałeś, że to ona. I tak już zostało. Ona jest ciągle z nami. Ale pewnego dnia obudziłbyś się i zobaczył, że obok ciebie leżą ja, Frances Duncan, a nie Lindsay. - Zdławiła szloch. - Nie potrafię się z tym pogodzić.

Spojrzała mu w oczy, modląc się, żeby zaprzeczył. Ale on milczał. Zerwała się więc i uciekła z gabinetu.

Tego niedzielnego popołudnia piły z Rosą kawę w małym barku. Rosa miała dobre nowiny. Jack za tydzień zaczynał naukę w Harrington Hall. Wypadek na żaglach wyraźnie obudził w nim wiarę w siebie. Do tego stopnia, że nawet umówił się na popołudnie z Carlem; mieli grać w rugby.

- A jak tam Bruno? - odważyła się spytać Frances.

Prawie go nie widywała. Przez ostatnie tygodnie brała wszystkie ranne wizyty i wracała do przychodni, kiedy mogła już mieć pewność, że on wyszedł.

- Marnie. Co się stało, Frances?

- To było bez szans, Roso. - Frances wzruszyła ramionami i pociągnęła łyk kawy. - Bruno łudził się, że mnie kocha, ale ja wiem, że to nieprawda. On ciągle nie może zapomnieć Lindsay. Ja po prostu mam nieszczęście być do niej podobna.

Rosa wpatrywała się w nią zdumiona.

- Moja droga, ty nic nie rozumiesz. Jeśli twój wygląd miał jakieś znaczenie, to raczej działał na twoją niekorzyść. Nie wiesz, że Bruno ożenił się z Lindsay, bo była w ciąży?

- W ciąży?

- Nie mówiłam tego Brunowi, ale kiedyś zwierzyła mi się, że rozmyślnie przestała brać pigułki.

- No dobrze, ale przecież na pewno darzył ją miłością...

- Posłuchaj mnie, Frances. Lindsay była moją córką i kochałam ją, ale zdawałam sobie sprawę z jej niestałości. Była bardzo podobna do ojca. Zmarł, kiedy ona i Christina były jeszcze bardzo małe. Niespokojny był z niego duch i taka sama okazała się Lindsay. Christina odziedziczyła raczej mój charakter. Obie cenimy sobie życie rodzinne, jesteśmy domatorkami. A Lindsay szybko się nudziła. Z początku Bruno odpowiadał jej wymaganiom. Ale wkrótce odechciało jej się być żoną lekarza. Właściwie od urodzenia Jacka małżeństwo przestało ją bawić. Jak myślisz, dlaczego z nimi zamieszkałam? Lindsay nigdy nie było w domu. A kiedy Jack miał trzy lata, przeniosła się do mieszkania w Cerne Carey. Założyła firmę projektowania wnętrz. I wplątała się w romans. Twierdziła, że on jest jej współnikiem, ale... - Rosa wzruszyła ramionami. - Bruno też o tym wiedział. Znał ją już dobrze. Był do niej bardzo przywiązany, ale kiedy zabrała Jacka, nastąpił koniec.

Frances ogarnęła czarna rozpacz. Czy to możliwe, że aż tak się pomyliła? Czyżby to nie jego, lecz jej własne urazy sprawiły, że go odrzuciła?

- Mój zięć troszczył się o nią, martwił się jej niestałością, bo była matką Jacka. To wszystko - kontynuowała Rosa. - Kiedy poznał ciebie, powiedział mi, że wreszcie znalazł kogoś, kogo mógłby pokochać. Ale bał się o Jacka. Nie chciał burzyć jego spokoju. Tylko że, jak dobrze wiesz, Jack sam podjął decyzję. Bruno chciał być ostrożny, Jack przeciwnie. Od pierwszego dnia, kiedy znalazłaś go w Cerne Carey, przypadłaś mu do serca.

- Och, Roso, a ja myślałam, że nie mogę rywalizować z Lindsay.

- Możesz być pewna, że gdybyś naprawdę przypominała Lindsay, Bruno nigdy by się w tobie nie zakochał. Wiem, co mówię. Była moją córką. - Rosa

ujęła jej dłoń. - Czy wiesz, że Jack będzie mieszkał w internacie tylko w dni powszednie? Na weekendy będzie wracał do domu.

- Nie wiedziałam. Czy jest z tego bardziej zadowolony?

- O wiele. To twoja zasługa. Ty wpłynęłaś na Bruna. Frances westchnęła. Podniosła oczy na Rosę.

- To już mój ostatni tydzień. Benita wraca do pracy...

- Przez tydzień może się jeszcze wiele wydarzyć - rzekła Rosa. - Kochasz go?

Frances powoli skinęła głową.

- To czemu mu tego po prostu nie powiesz?

Bo się bała, taka była prawda. Bała się otworzyć serce, dawać i brać. Teraz już wiedziała, że nigdy nie kochała Grega ani Greg jej. A gdy w końcu przyszła prawdziwa miłość, nie potrafiła jej zatrzymać.

- Już za późno, Roso.

- Nigdy nie jest za późno.

Frances nie mogła opanować wzburzenia. Była zła na samą siebie. Podejrzewała Bruna o romanse, a kiedy okazało się to nieprawdą, uczepiła się ducha! A wszystko dlatego, że bała się kochać, bała się narazić na cierpienie. Co Bruno o niej teraz myśli?

Nie zasługuje na jeszcze jedną szansę.

Mimo to miała nadzieję, że spotkają się w poniedziałek rano w przychodni. Niestety tak się nie stało. Wyszedł na wizyty domowe. We wtorek zajął go nagły wypadek, a w środę ona była zajęta: żegnała się z pacjentami. We czwartek po pracy odbyło się w przychodni małe przyjęcie pożegnalne z winem, chrupkami i kielbaskami. Wesoła, żartobliwa atmosfera pomogła jej pokryć rozczarowanie z powodu nieobecności Bruna.

Nadszedł piątek, dzień ostatniej szansy na spotkanie z nim. Nie przyszedł do pracy. Jakoś przetrwała kilka godzin, z sercem tak ciężkim, że chwilami

zdawało jej się, że zaraz umrze. Opuściwszy przychodnię, otarta napływające do oczu łzy i po raz ostatni pojechała na Bow Lane.

Pakując się i sprzątajac, wyczekiwała telefonu. Nie zadzwonił.

W sypialni wybuchnęła płaczem. Czy widział świat taką ślepa, nic nie rozumiejącą idiotkę jak ona?

Oto opuszcza miasto, które nauczyła się kochać.

I ukochanego mężczyznę.

Czy duma jest warta takiej ceny? Podniosła słuchawkę i wybrała numer Bruna. Nikt się nie zgłosił.

Niedzielna podróż do Londynu była niewypowiedzianie smutna. Pogoda harmonizowała z jej nastrojem: lało bez przerwy. Londyn wyglądał ponuro, jak tylko Londyn może wyglądać w taki dzień. Samochód przedzierał się przez wilgotną szarość. Nad wielkim miastem zdawała się wisieć chmura samotności.

Wkrótce przez ociekającą deszczem przednią szybę zobaczyła długie rzędy bliźniaków, co zwiastowało, że zbliża się do swojego dawnego świata.

Na ten widok poczuła głęboki niesmak. To ma być dom?

Tam dom twój, gdzie serce twoje... A jej serce jest w zapadłym kącie Dorset.

Zatrzymała się przed niewielkim blokiem na końcu ulicy. Równie dobrze mogłaby wysiąść na innej planecie. Nic nie czuła. Żadnego sentymentu. Ciepła. Powitalnego nastroju. Łzy przepelniły jej oczy i zaczęły kapać na zaciśnięte dłonie.

Sama jest sobie winna. Przed oczami miała jedynie kochaną twarz Bruna. Boże, teraz zwiduje jej się już nie tylko we śnie, ale i w świetle dziennym.

Słyszac pukanie, aż drgnęła. Chyba traci zmysły. Drżącą ręką opuściła szybę. Bruno tu jest: to naprawdę jego twarz!

Nagle drzwi się otworzyły i znalazła się w jego ramionach.

Przywarła do niego, łkając, śmiejąc się, nie wierząc własnym oczom. Po ich twarzach spływały strugi deszczu.

- Jak... skąd...? - jąkała się.

- Wcześniej wyjechałaś! Musiałem cię chyba wyprzedzić gdzieś po drodze.

- Nie widziałam cię. Och, kochany, co cię tu sprowadza? Roześmiał się. A potem pocałował ją tak, że zabrakło jej tchu.

- Ty mały głuptasie!

- Ale ja myślałam, że już nigdy cię nie zobaczę.

- Naprawdę myślałaś, że tak po prostu pozwolę ci odejść? Potrząsnęła głową.

- Nie wiedziałam, co myśleć. Dzwoniłam do ciebie w piątek.

- Miałem wolny dzień. Zabrałem Jacka i Rosę na wycieczkę, a potem na kolację. Jutro Jack zaczyna szkołę, pamiętasz?

- Zapomniałam - jęknęła.

- Oboje żalowali, że cię z nami nie było.

- Nie zostałam zaproszona.

- A przyszłabyś?

- Och, kochany, oczywiście. - Uściskała go z całej siły.

- W takim razie lepiej ruszajmy. - Oderwał ją od siebie i przetarł mokre od deszczu oczy. - Nie możemy zmarnować Jackowi ostatniego wieczoru w domu.

- Jak to? Mam wracać... teraz, z tobą?

- A jak sądzisz, co innego mogłem mieć na myśli? Spojrzeli sobie w oczy. Bruno całował jej twarz, pokrytą kropelkami deszczu.

- Jesteś piękna, kiedy jesteś mokra.

- To już coś w rodzaju tradycji. Za pierwszym razem pożyczyłeś mi sweter.

- A teraz daję ci serce.

- Och, Bruno... Nigdy nie przestanę cię kochać.

- Powtórz to - szepnął.

- Kocham cię, najdroższy. I zawsze będę cię kochać... nawet jeśli naprawdę dostanę zapalenia płuc.

Zaśmiał się, tuląc ją do piersi.

- Nie martw się, znam doskonale lekarstwo. Oto recepta: pani Quillan...
Ważne do końca życia.



RS